16 stron

BRUCE LEE: prawda i legenda

Więcierze-wieniec sonetów K.A.Jaworskiego

PLASTER

Co dalej po maturze?

Opowiadanie E.Pietryka o piłkarzu

Jan Tomaszewski w Hollywood. Pisz na Bermudy!

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena

1933 – 1983 kamena 50 lat CHEŁM-LUBLIN

NR 18 (785) 28 sierpnia - 10 września 1983 CENA 10 ZŁ

6 września 1983 dziesiąta rocznica śmierci KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO założyciela „Kameny"

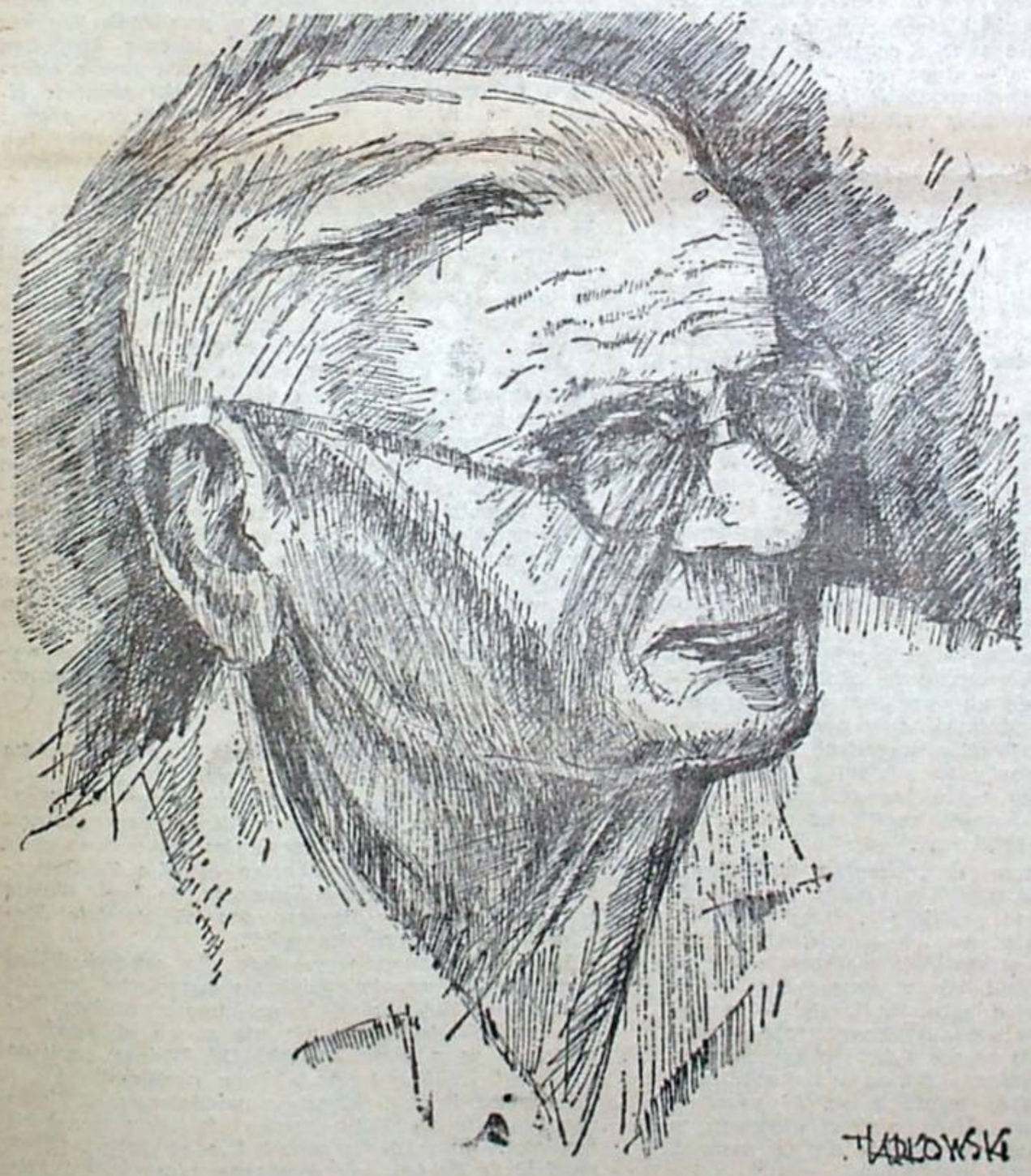

Rys. Józef Tarłowski

6 września 1972 roku zmarł na zawał serca w wieku lat 75 Kazimierz Andrzej Jaworski, założyciel „Kameny", poeta, tłumacz, pedagog. Dziesiąta rocznica śmierci stała się dla nas okazją do przypomnienia w całości (patrz str. 8—9) „Więcierzy" — wieńca sonetów Jego autorstwa, które w wydaniu książkowym ukazały się po raz pierwszy przed 51 laty — w 1932 roku. Zwraca uwagę szczególna kompozycja całości, według której pierwsze wersety sonetów powtarzają kolejne wersety wiersza pierwszego, potraktowanego jako wprowadzający wstęp.

Ponadto na str. 10 publikujemy tekst Kazimierza Prusa pt. „K. A. Jaworski w świetle korespondencji z Rosjanami". Jednocześnie informujemy, że w następnym numerze „Kameny" zamieścimy wspomnienia Mirosława Dereckiego (z cyklu: „Środowisko lubelskie"), poświęcone KAJ-owi.

Uwierzyli we własne kłamstwa

PRZED trzema laty, 31 sierpnia 1980 roku, w trakcie końcowych rozmów Komisji Rządowej z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Stoczni Gdańskiej im. Włodzimierza Lenina, Lech Wałęsa powiedział m.in.: *Uważam, że naprawdę po tylu ciężkich dniach udało nam się załatwić to, co było możliwe. Walczyliśmy wszyscy jak lwy. Nie tylko ja, ale wszyscy. Jest naprawdę dobrze. Ale to nie znaczy, że ktokolwiek z was jest zwolniony od dalszej pracy. To jest pierwszy etap. Mały etap wygrany. Ale ten drugi jest dużo trudniejszy.*

Po 15 miesiącach, w czasie posiedzenia Prezydium KK NSZZ „Solidarność" w Radomiu, tenże sam Lech Wałęsa oświadczył m.in.: *Konfrontacja jest nieunikniona i konfrontacja będzie. Trzeba to ludziom już uświadamiać. Chciałem do tej konfrontacji dojść naturalnie, wtedy, kiedy prawie wszystkie grupy społeczne będą z nami. Jednak w moich obliczeniach pomyliłem się, bo myślałem, że jeszcze wytrwamy, wtedy obalimy i te sejmy i te rady. Okazuje się, że dalej tą taktyką już nie pójdziemy. Więc wybieramy drogę, aby błyskawicznie zrobić manewr... My wygramy, tylko nie chcieliśmy płacić maksymalnie. Oczywiście tej walki w końcu nie można wygrać, żeby nic nie zapłacić, chodzi o to, żeby jak najmniej zapłacić... Od 1970 roku nie wierzę nikomu w tym systemie, nikomu, kto sprawuje władzę. Naprawdę nie wierzymy, naprawdę chcą nas wmanewrować, przecież zdajmy sobie sprawę, że my rozkładamy ten system. Jeśli my damy prywaciarzy, rozkupimy PGR, jeśli zrobimy samorządy i to całkowicie, to nie mamy systemu. Od początku było jasne, że walka będzie, tylko i wyłącznie dobierać środki, żeby jak najwięcej społeczeństwo rozumiało tę walkę. Głośno nie mówić, konfrontacja nieunikniona, takie rozmowy to tylko przechytrzanie, kto kogo, jak kogo, a my się sami przychytrzymy. My mamy mówić: kochamy was, kochamy socjalizm i partię, oczywiście Związek Radziecki, a przez fakty dokonane robić robotę i czekać... Nie łudźmy się, od początku było grane na nosie i ja o tym dobrze wiedziałem, nie mówiłem o tym, bo chciałem grać, ale dziś już nie mam wyjścia, bo sprawy tak zaszły daleko, że trzeba ludziom trochę przypuścić i powiedzieć, w co my gramy. Że gramy tak wysoko, że zmieniamy w ogóle realia i ta gra nie może się inaczej skończyć. Żadna zmiana systemu nie może obejść się bez targania po szczękach, no nie ma mowy — trzeba ją tylko wygrać...*

W przerwie I Zjazdu NSZZ „Solidarność" (wrzesień 1981 r.) niejaki A. J. Socha (nr 66 „Informatora Solidarności" regionu środkowo-wschodniego w Lublinie) przeprowadził wywiad z Marianem Jurczykiem.

W marcu należało zastrajkować — wzdychają ludzie, a jak Pan sądzi? (To Socha).

Odpowiedź: *Dyskusyjna sprawa. Strajk generalny to konieczność przejęcia lub stworzenia nowej władzy. Wówczas ani społeczeństwo nie było na to przygotowane, ani Związek nie miał odpowiednich ludzi, by wyłonić Rząd... [...]*

Pytanie: *Czy dzisiaj Związek potrafiłby wyłonić odpowiednich ludzi na wypadek strajku?*

Odpowiedź: *Raczej tak.*

Porównanie pierwszej wypowiedzi Wałęsy z drugą, uzupełnione o myśli Jurczyka z września 1981 roku, nie wymaga komentarza.

Prof. Jerzy Kołodziejski, b. wojewoda gdański, był w sierpniu 1980 roku członkiem Komisji Rządowej, która prowadziła rozmowy z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Stoczni Gdańskiej. Ostatnio na łamach „Polityki" (nr 34 z 20 sierpnia) w wywiadzie udzielonym Krzysztofowi Grabowskiemu stwierdził on m.in.:

Dokończenie na str. 3

PO ROZWIĄZANIU ZLP

W dniu 19.08.1983 r. prezydent m. st. Warszawy na podstawie prawa o stowarzyszeniach podjął decyzję o rozwiązaniu Związku Literatów Polskich.

20 bm. w Warszawie zebrała się grupa pisarzy reprezentujących różne środowiska literackie i wszystkie regiony kraju. W toku ożywionej dyskusji, którą zagaił Andrzej Wasilewski, omówiono istotne problemy polskiego życia literackiego po rozwiązaniu ZLP. Podkreślono zwłaszcza potrzebę odrodzenia zawodowo-twórczej organizacji literatów zdolnej do działania w interesie społeczności pisarskiej i współczesnej literatury polskiej.

Zebraniu przewodniczyła Halina Auderska.

W rezultacie dyskusji jednogłośnie przyjęto następujące oświadczenie:

OŚWIADCZENIE

Zebrani w dniu 20 sierpnia 1983 roku w Warszawskim Klubie Księgarza pisarze polscy stwierdzają z ubolewaniem, że wielomiesięczne rozmowy przedstawicieli władz politycznych i państwowych z przedstawicielami władz Związku Literatów Polskich skończyły się niepowodzeniem. Wobec rozwiązania ZLP powstał stan szkodliwy dla polskiego środowiska literackiego. W tej sytuacji istnieje pilna potrzeba odtworzenia zawodowo-twórczej organizacji pisarzy, skupiającej wszystkich, niezależnie od orientacji politycznej, światopoglądu i artystycznej praktyki, szanujących ustrój i prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Stowarzyszenie takie w sposób aktywny walczyć powinno o swobody twórcze, o materialne zabezpieczenie bytu pisarzy, o godność i rangę naszego zawodu w całokształcie socjalistycznej kultury. Sytuacja pisarzy i piśmiennictwa polskiego wymaga bowiem pilnych i rozumnych decyzji.

W tym stanie rzeczy zebrani zgłaszają gotowość do podjęcia prac nad ponownym zorganizowaniem środowiska pisarskiego, apelując do wszystkich koleżanek i kolegów o przyłączenie się do ich inicjatywy.

Za przyjęciem oświadczenia opowiedzieli się następujący pisarze: **Halina Auderska, Aleksander Barszczewski, Wacław Biliński, Roman Bratny, Zdzisław Brudnicki, Leopold Buczkowski, Zofia Bystrzycka, Alina Centkiewicz, Czesław Centkiewicz, Tadeusz Chróścielewski, Krzysztof Coriolan, Bohdan Czeszko, Janusz Domagalik, Zbigniew Domino, Janina Dziarnowska, Feliks Fornalczyk, Krzysztof Gąsiorowski, Jan Maria Gisges, Teodor Goździkiewicz, Jan Górec-Rosiński, Zygmunt Greń, Jerzy Grzymowski, Jerzy Harasymowicz, Tadeusz Hołuj, Stanisław Horak, Tadeusz Jasiński, Jerzy Jesionowski, Tadeusz Kajan, Ireneusz Gwidon-Kamiński, Stanisław Kamiński, Julian Kawalec, Ryszard Kłyś, Bogusław Kogut, Janusz Koniusz, Jan Koprowski, Jerzy Kossak, Zbigniew Kośmiński, Kazimierz Koźniewski, Zbigniew Krempf, Jerzy Księski, Czesław Kuriata, Jan Kurowicki, Józef Lenart, Zygmunt Lichniak, Henryk Liwor-Piotrowski, Jan Łysakowski, Marcin Łysakowski, Władysław Machejek, Józef Ozga-Michalski, Jan Nagrabiecki, Zbigniew Nienacki, Karol Obidniak, Tadeusz Ostojski, Hanna Ożogowska, Henryk Panas, Gabriela Pauszer-Klonowska, Jan Pierzchała, Janusz Przymanowski, Andrzej Przypkowski, Marian Reniak, Janusz Roszko, Michał Rusinek, Wiesław Rustecki, Wacław Sadkowski, Zbigniew Safjan, Artur Sandauer, Igor Sikirycki, Jerzy Sokołowski, Włodzimierz Sokorski, Tadeusz Sokół, Stanisław Stanuch, Marian Stępień, Stanisław Sulima-Kamiński, Józef Szczawiński, Andrzej Twerdochlib, Andrzej Wasilewski, Jerzy Wawrzak, Marek Wawrzkiewicz, Jerzy Wittlin, Zygmunt Wójcik, Stanisław Zieliński, Stanisław Załuski.**

(PAP)

Uwierzyli we własne kłamstwa

Dokończenie ze str. 1

Od 1974 r. widoczne było niepokojące rozwarcie między stanem, poziomem świadomości społecznej, a stylem rządzenia. Rok 1976 dowiódł, że to rozwarcie ma już charakter jakościowy, że niezadowolenie społeczeństwa wyprowadza ludzi na ulice. A z drugiej strony zachowanie się władz w czasie wydarzeń czerwcowych w 1976 r. wykazało, że nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji, nie widzą zasadniczych źródeł konfliktu. I to była kolejna przesłanka narastania sytuacji wybuchowej. Później ten proces się pogłębiał. Trudno było tego nie zauważyć. Błędy rosły lawinowo i również lawinowo wzrastało niezadowolenie społeczne. Byliśmy tego — w Gdańsku — w pełni świadomi. Wynikało to z przyjętego przez nas założenia, iż władzę trzeba sprawować w ciągłej styczności ze społeczeństwem. Przewidywaliśmy wybuch i pomyliliśmy się tylko o kilka miesięcy.

Prof. Jerzy Kołodziejski mówił o trudnym okresie, o drodze od Sierpnia 1980 do Grudnia 1981, o błędach, które popełniała „Solidarność", ale i o błędach władzy. *Nowy rząd generała Jaruzelskiego nie był w stanie skupić się na kwestiach programowych — musiał gasić pożary kolejnych konfliktów. [...] „Solidarność" była wielką siłą, ale o bardzo słabej strukturze organizacyjnej. Szybko i sprawnie potrafiła ona jedynie organizować strajki i protesty. Nie potrafiła zaś ogromu adresowanych do niej oczekiwań i postulatów społecznych przetworzyć w sposób konstrukcyjny. [...] Pamiętam, jak namawialiśmy działaczy „Solidarności" do opamiętania się, do izolacji sił ekstremalnych. Uważaliśmy bowiem, że największym niebezpieczeństwem dla „Solidarności" jest sama „Solidarność", jej ekstremalni działacze z Komisji Krajowej. Ileż tych rozmów się odbyło! Czasami nieskutecznych, czasami skutecznych — rozmówcy przyjmowali nasze argumenty. Zawsze nieskutecznych w tym sensie, że niewiele się potem w ich działalności zmieniało. I wreszcie w czasie ostatniej, nocnej rozmowy z Wałęsą, już po Radomiu, musieliśmy mu powiedzieć: przegraliście. Przegrali, bo nie rozumieli istoty sytuacji politycznej w Polsce.*

Na pytanie Krzysztofa Grabowskiego: *Mówił pan o ekstremalnych działaczach „Solidarności", ale poza nimi — najczęściej właśnie za nimi schowana — była jeszcze opozycja, faktycznie istniejąca opozycja polityczna. Zresztą im dalej od Sierpnia 80, tym wyraźniej zaznaczała się linia personalna między tymi grupami* ... prof. Jerzy Kołodziejski odpowiedział: *I to też był [...] błąd „Solidarności". Opozycja miała bowiem własne cele polityczne, a jeśli starannie przeanalizować jej działalność, to nasuwa się wniosek, że głównym jej celem było przejęcie władzy.*

Inne pytanie brzmiało: *Panie profesorze, przecież opozycja nie składała się z analfabetów politycznych. A każdy, kto nim nie jest, musi wiedzieć, że przejęcie przez nią władzy było i jest niemożliwe.*

A oto odpowiedź profesora: *Sądzę, że rozwój sytuacji w Polsce rozbudził w nich przekonanie, iż niemożliwe jest jednak możliwe. Rozmawiałem z wieloma z tych ludzi. Byli świetnie zorientowani w sytuacji światowej, doskonale znali rozmaite teorie polityczne i filozoficzne, także marksizm, ale popełnili ten błąd, że uwierzyli we własne kłamstwa. Przeznaczone dla innych. Nieobcy im był też grzech megalomanii, euforia, niewłaściwa ocena układu sił politycznych w państwie. Niedocenianie siły wojska, niewiara w możliwość skutecznego użycia sił wewnętrznych. Gdyśmy to im uświadamiali, zawsze odpowiadali, że to są tylko strachy. Dodajmy jeszcze do tej atmosfery, w jakiej działali, poparcie ze strony politycznych sił na Zachodzie. To wszystko dodawało skrzydeł! Obserwowałem tych ludzi od Sierpnia do Grudnia, widziałem, jak się zmienili. To byli — przed Grudniem — inni ludzie, to już byli ludzie władzy, którym zdawało się, że pozostało tylko przejąć ją formalnie.*

Prof. Jerzy Kołodziejski stwierdził, że „Solidarność" potrafiła jedynie szybko organizować strajki i protesty. Nie było to — dodajmy — wcale przypadkowe: właśnie sfera gospodarki okazała się podstawową platformą walki z ustrojem socjalistycznym.

Wydana w sierpniu 1983 r. przez Biuro Prasowe Rządu publikacja pt. „Porozumienia sierpniowe — nadzieje, realia, perspektywy" udowadnia, że już jesienią 1980 roku okazało się, że porozumienie narodowe, realizacja umów sierpniowych — sprzeczne są z planami ekstremalnych sił w „Solidarności". Siły te podjęły zdecydowane kroki zmierzające do paraliżowania władzy, osłabiania gospodarki państwa, łamania prawa i siania narodowej niezgody.

Jesienią 1980 roku — zgodnie z literą porozumień sierpniowych, ale wbrew gospodarczej logice — podwyższone zostały płace pracowników gospodarki uspołecznionej. Efektem tego, wobec utrzymującej się niskiej wydajności pracy i często malejącej podaży dóbr, było pogłębianie nierównowagi rynkowej, dodatkowy nacisk pieniądza na rynek, zamiast poprawy sytuacji — rosnące niezadowolenie obywateli nie mogących zaspokoić często podstawowych potrzeb.

W styczniu 1981 roku — pod presją strajkową organizowaną przez kierownictwo „Solidarności" — władze wyraziły zgodę na ograniczenie czasu pracy do 42 godzin tygodniowo, a w górnictwie zrezygnowanie ze wszystkich pracujących sobót. Wobec braku rekompensaty w postaci wzrostu wydajności pracy był to zabieg oznaczający kolejne działanie inflacyjne, kolejny nacisk na rynek, dodatkowe pogłębienie trudności.

Szczególnie jaskrawo destrukcyjna działalność kierownictwa „Solidarności" ujawniła się w odniesieniu do pracy w górnictwie. Rząd potwierdził w całej rozciągłości zawartą w porozumieniach z Jastrzębia zasadę wszystkich wolnych sobót w górnictwie, ale zwrócił się z propozycją — ze względu na kryzysową sytuację kraju — o dobrowolną, dodatkowo wynagradzaną pracę w kopalniach. Spotkało się to nie tylko ze sprzeciwem, ale i z bojkotem „Solidarności", co w konsekwencji dało spadek wydobycia węgla o ok. 15 proc. — niemożliwość zdobycia dewiz z jego eksportu, a także braki w dostawach paliwa do elektrowni, przemysłu, gospodarstw domowych.

We wspomnianej publikacji czytamy dalej: *Stale rozszerzającym się polem działań opozycyjnych było także przygotowanie i wdrażanie reformy gospodarczej. Propozycje likwidacji dyrektywno-nakazowego systemu gospodarowania i zastąpienia go, opartym na działaniu praw ekonomicznych, funkcjonowaniu przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych napotykały na opór. Przeciwstawiano im koncepcję tzw. przedsiębiorstwa społecznego opartego na niczym nie ograniczonej władzy samorządu i podlegającego w pełni wolnej grze sił rynkowych. Ten zlepek niezależnych przedsiębiorstw stanowiących własność nie społeczną, a grupową miał stanowić podstawę lansowanej przez I Zjazd „Solidarności" tzw. samorządnej Rzeczypospolitej. W żądaniach tych powróciło znane z historii widmo Polski rozszarpywanej szlachecką anarchią.*

Chaos zamiast przywracania nadwerężonych więzi ekonomicznych, anarchia zamiast poszanowania prawa, ciągłe strajki zamiast organicznej pracy — tak wyglądała w wykonaniu kierownictwa „Solidarności" realizacja porozumień sierpniowych. Ich dewizą było: „im gorzej, tym lepiej". A kraj pogrążał się coraz bardziej, w coraz większej liczbie polskich rodzin narastał niepokój o jutro, o codzienny byt, o przetrwanie kolejnej zimy.

W dokumentach i decyzjach kierowniczych gremiów „Solidarności" w ciągu całego okresu 16 miesięcy brak jednego chociażby przykładu wyjścia naprzeciw trudnościom Polski, ulżenia kłopotom dnia codziennego, przyjścia z pomocą swoim własnym członkom, których przecież skrupulatnie liczono na dziesięć milionów. Ultimatum, groźna decyzja o proteście, o gotowości strajkowej lub strajku — taki był bez reszty język kierownictwa „Solidarności".

Powróćmy jeszcze do porozumień sierpniowych. W punkcie pierwszym porozumienia gdańskiego stwierdzono czarno na białym, że nowe związki zawodowe nie będą pełnić roli partii politycznej, że będą opierać się na poszanowaniu konstytucyjnych zasad ustrojowych, będą uznawać kierowniczą rolę partii i szanować sojusze międzynarodowe państwa. Punkt pierwszy miał wagę niezmierną: gdyby tego punktu nie dało się uzgodnić (i wzajemnie przyjąć!) nie można by po prostu zaakceptować całego dokumentu. Wkrótce okazało się, że ten pierwszy punkt znalazł się pod szczególnym obstrzałem tych, którzy wiązali określone nadzieje z powstaniem nowych związków zawodowych. Stąd perypetie przy rejestracji „Solidarności", kiedy to z trudem osiągnięto kompromis — wspomniany punkt znalazł się nie w statucie związku, ale w jego aneksie. Później łatwo już było o tym aneksie nie pamiętać, zwłaszcza wówczas, kiedy niektóre ogniwa „Solidarności" podjęły próbę wyrugowania komitetów partyjnych z zakładów pracy.

* * *

Od Sierpnia 1980 roku mijają trzy lata. Polska Agencja Prasowa doniosła 20 bm.

Deputowany do amerykańskiej Izby Reprezentantów — Tom Corcoran z Illinois zaproponował projekt ustawy takiego brzmienia: „uchwalono przez Senat i Izbę Reprezentantów Stanów Zjednoczonych na wspólnej sesji Kongresu, że Lech Wałęsa jest proklamowany honorowym obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki".

Lech Wałęsa w wywiadzie dla amerykańskiej agencji UPI wypowiedział się przeciwko zniesieniu przez USA sankcji gospodarczych wobec Polski, sankcji, które — nie ma czego ukrywać — uderzają w nas wszystkich. (W Wałęsę zapewne nie, ale to osobny i o s o b l i w y problem!)

Wracając do jego słów, wypowiedzianych 31 sierpnia 1980 roku, chciałoby się zapytać: który to już teraz etap? Trzeci? Czwarty? I o co tu właściwie chodzi? O Polskę, czy o własne, niespełnione ambicje?

Można być świętszym od Reagana. Bo tenże Reagan wycofał się już z embarga zbożowego nałożonego na Związek Radziecki, a także z embarga na rury dla gazociągu naftowego. Polityka sankcji ponosi fiasko: takie są realia współczesnego świata.

13 grudnia 1981 roku nie dopuszczono do tego, by społeczeństwo polskie targało się po szczękach. To było zwycięstwo politycznego realizmu. I dopiero po tym zwycięstwie można było z całą konsekwencją przystąpić do realizacji porozumień sierpniowych. Paradoks i historyczna prawda. Z upływem czasu lepiej to się rozumie. Oczywiście, jeśli r o z u m i e ć chce się!

Zanim przyszli podpalić nasz dom...

Lindner i inni

Jerzy Doroszewski

LUDNOŚĆ narodowości niemieckiej w województwie lubelskim stanowili potomkowie dawnych kolonistów, osiedlających się w latach 1815—1915. Koloniści ci — dzięki temu, że od początku tworzyli zorganizowane i zwarte skupiska — przez długi okres zachowali znaczną odrębność. Proces ich polonizacji najszybciej przebiegał w Ordynacji Zamojskiej oraz w innych rejonach Zamojszczyzny. Wszędzie tam, gdzie mieszkali pojedynczo bądź w obrębie dużych wsi polskich (Białobrzegi, Huszczka, Korchów) czy też w pobliżu miast (Sabaudia koło Tomaszowa, Sitaniec koło Zamościa), zakończył się on przed 1900 rokiem. Najdłużej swoją odrębność zachowali oni w powiatach: chełmskim, lubartowskim i lubelskim, gdzie jeszcze w drugiej połowie XIX wieku posługiwali się językiem niemieckim, a polski znali zazwyczaj bardzo słabo. Okres pierwszej wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu przyspieszył nieco proces polonizacji. Wprawdzie utrzymały się nadal niektóre wsie całkowicie niemieckie (Żdanne i Wierzchowiny w powiecie krasnostawskim, Michalin zwany Michelsdorf, Skorodnica, Hola, Zamołodycze, Kamień, Hańsk, Ujazdów, Szczęśniki we włodawskim), ale nastąpiło pewne przemieszczenie i wymieszanie ludności. Równocześnie uległy likwidacji bądź zahamowaniu instytucje utrwalające narodowe tradycje, takie jak kościół (najczęściej augsbursko-ewangelicko-luterański) i szkolnictwo religijne, tzw. kantoraty. W wyniku procesów migracyjnych zmniejszyła się również liczba ludności pochodzenia niemieckiego. W oparciu o wyniki pierwszego spisu powszechnego (9 września 1921 r.) stwierdzono, że na terenie województwa lubelskiego zamieszkiwało 18 013 osób różnych wyznań ewangelickich, z których 10 824 podawało swoją narodowość jako niemiecką.

W ciągu pierwszego dziesięciolecia niepodległej Polski ludność pochodzenia niemieckiego nie wykazywała tendencji nacjonalistycznych i seperatystycznych. Na Lubelszczyznę nie docierały również wpływy niemieckich legalnie istniejących stowarzyszeń kulturalno-oświatowych czy też partii politycznych. Dawni koloniści niemieccy w niektórych powiatach (chełmski, włodawski) zaczęli zmieniać swój stosunek do Polski około 1930 r. Choć jeszcze w dalszym ciągu zachowywali się lojalnie, to jednak z coraz większą sympatią odnosili się do Deutsche Volksverband in Polen (DVV) — Niemieckiego Związku Ludowego.

Niemiecki Związek Ludowy powstał jesienią 1924 r. i obejmował swymi wpływami głównie województwa łódzkie oraz warszawskie. Była to od początku organizacja nacjonalistyczna i prawicowa, której program ostatecznie ustalono na dwu kolejnych zjazdach (maj 1929 i czerwiec 1930 r.). Prześcigano się więc w najostrzejszych atakach na państwo polskie, a 31 lipca 1931 r. kierownictwo DVV przekazało do Ligi Narodów petycję, w której oskarżono władze polskie o stosowanie ucisku narodowego i kulturalnego wobec Niemców. Po dojściu do władzy Hitlera entuzjastycznie przyjmowano wszelkie decyzje i posunięcia polityczne Niemiec, zaś obchodzenie uroczystości wprowadzonych w III Rzeszy stało się wręcz ceremoniałem. Równocześnie z działalnością propagandową podjęto akcję rozbudowy organizacji na terenach wschodnich, w tym i na Lubelszczyźnie. Pod wpływem agitacji uprawianej przez nasyłanych emisariuszy, już w 1933 r. w niektórych miejscowościach zaczęto występować z żądaniami wprowadzenia języka niemieckiego do polskich szkół. Na terenie powiatu chełmskiego inicjatorami odradzania się ruchu nacjonalistycznego byli kantorowie (Juliusz Lindner z Woli Korybutowej, Rudolf Krygier ze wsi Zaróbki, Rudolf Prybe z kol. Bekiesza) i inni przedstawiciele narodowości niemieckiej znani ze swych antypolskich wystąpień (August Rosen, Adolf Nikiel). Po powołaniu odpowiednich ogniw DVV stali się oni czołowymi przywódcami ruchu narodowo-socjalistycznego na tym terenie, obejmującego również swym zasięgiem powiaty sąsiednie.

Pierwsze oddziały Niemieckiego Związku Ludowego zostały zarejestrowane w lutym 1937 r. w kol. Łazy (gm. Gołąbki) w powiecie łukowskim i w październiku tegoż roku we wsi Zawada (pow. Lubartów). Najintensywniejszy okres rozwoju DVV przypada na 1938 r. W okresie od lutego do grudnia tegoż roku w powiecie chełmskim powołano oddziały w 16 koloniach (Bachus-Wanda, Bekiesza, Bielin, Bogdanka, Gotówka, Janowice, Karolinów, Ludwinów, Malinówka, Piaski, Skordiów, Stefanów, Stręczyn Nowy, Teosin, Tomaszówka, Zaróbki) oraz w sześciu wsiach (Bukowa Mała, Felczyn, Ruda, Stawek, Syczów, Wola Korybutowa). Również w tym roku powstały cztery oddziały w powiecie włodawskim (w koloniach Dębowiec, Dubeczno, Kulczyn, Wytyczno) oraz po jednym w powiatach: hrubieszowskim (kol. Radziejów), lubelskim (kol. Malinówka). Oprócz wymienionych istniały jeszcze dwa oddziały w powiecie garwolińskim i jeden w powiecie siedleckim (w miejscowościach bliżej nie określonych).

Nieco wcześniej od Niemieckiego Związku Ludowego rozpoczęła działalność na Lubelszczyźnie druga czołowa partia nacjonalistyczno - faszystowska w Polsce: Jung Deutsche Partei (JDP) — Partia Młodych Niemców. Powołana do życia w 1921 r. na Śląsku Cieszyńskim, początkowo nie miała zwolenników. Po zwycięstwie faszyzmu w Niemczech przyjęła najbardziej skrajny kierunek polityczny i stała się głównym ugrupowaniem wśród Niemców opowiadających się za III Rzeszą.

W latach 1936—1938 JDP podjęła wielką ekspansję na województwo lubelskie. W roli agitatorów występowali odwiedzający Lubelszczyznę czołowi przywódcy partii z Warszawy: R. Breyer, K. Egerman, J. Mack, O. Walter, K. Zimerman oraz H. Balzer z Wejherowa. Terenem ich działalności były przede wszystkim powiaty: chełmski, garwoliński, lubartowski, łukowski i węgrowski. Efekty prowadzonej propagandy okazały się niewielkie. W lutym 1936 r. w Podolu Nowym gm. Wilga (pow. Garwolin) powołany został pierwszy oddział tej organizacji, a w grudniu tegoż roku drugi w kol. Brześce, gm. Stężyca (także w powiecie garwolińskim). Były to jedyne oddziały, jakie zdołano zorganizować w województwie.

Wobec nikłych efektów zanotowanych w początkowym okresie, kierownictwo JDP podjęło nową próbę agitacji przez skierowanie swoich płatnych funkcjonariuszy na dłuższy okres czasu. W miesiącach wiosennych 1938 r. przebywał w Lublinie Erich Bernau (na stałe zamieszkały w Koninie). Tutaj próbował nawiązać kontakty z miejscową kolonią niemiecką w celu zorganizowania ogniw JDP bądź innej pokrewnej organizacji. Misja ta zakończyła się jednak niepowodzeniem. Podobną próbę podjął również w środowisku wiejskim. Agitacja wśród rolników podlubelskich wsi zakończyła się zupełnym fiaskiem, bowiem, jak określał „koloniści niemieccy są bojaźliwi i obawiają się represji, wskutek czego nie chcą nawet słyszeć o zorganizowaniu niemieckiej placówki politycznej". Spełniał on również i inne funkcje, typowo wywiadowcze, w oparciu o posiadane mapy sporządzał odpowiednie szkice i opracowywał meldunki, które przekazywał do swoich agend w Koninie, Poznaniu i Sępolnie oraz centrali w Bielsku.

W początkach 1938 r. centrala Partii Młodych Niemców w Bielsku zorganizowała stałe przedstawicielstwo na województwo lubelskie, a jej płatnym funkcjonariuszem mianowany został Heinrich Balzer. W październiku tegoż roku przeniesiono go z podobną misją do Łucka, a na jego miejsce skierowano Karla Zimermana, dotychczas działającego w Warszawie. Obydwaj jednak nie mogli wykazać się sukcesami organizacyjnymi (najczęściej trafiali na teren opanowany przez DVV).

W tej sytuacji centrala JDP podjęła w marcu 1939 r. decyzję o likwidacji swojego przedstawicielstwa na Lubelszczyźnie i przyłączyła teren województwa lubelskiego do okręgu wołyńskiego.

Likwidacja stałej agentury w Lublinie nie oznaczała zawieszenia działalności JDP. Zarówno przed tym, jak też po podjęciu wymienionej decyzji poszczególne powiaty penetrowane były przez nasyłanych agitatorów. W lipcu 1937 r. usiłowano werbować kolonistów we wsi Zezulin (pow. Lubartów). W październiku 1938 r. wielką akcję w pow. Garwolin podjęli studenci z Warszawy, W. Zimerman i J. Mach, a w kol. Łazy (pow. Łuków) powołaniu placówki przeciwił się miejscowy pastor. Szczególną aktywność rozwijano w pow. Garwolin. 24 maja 1936 r. w Podolu Nowym zorganizowano zebranie z udziałem około 400 osób. W istocie rzeczy był to wielki wiec, podczas którego nawoływano do organizowania się w celu wspólnej obrony wobec rzekomych krzywd. 9 i 23 maja 1937 r. w kol. Brześce i Podolu Nowym odbyły się uroczystości majowe, tzw. Maiblume (z udziałem około 230 osób), podczas których używano wyłącznie języka niemieckiego. W przemówieniach oskarżano polskie władze państwowe o prześladowanie ludności niemieckiej, nawoływano do zbierania podpisów i wystąpienia z żądaniem wprowadzenia języka niemieckiego do szkół, w których uczą się dzieci niemieckie. Powyższe fakty działalności antypaństwowej zadecydowały o zawieszeniu kół JDP (30 lipca 1938 r.), co oznaczało ich likwidację. Od tej pory Partia Młodych Niemców przeszła do konspiracji.

Pełny stan organizacyjny mniejszości niemieckiej w całym okresie międzywojennym na Lubelszczyźnie wynosił: 34 oddziały DVV, dwa oddziały JDP i jedno koło młodzieżowej organizacji religijnej Jugendbund w powiecie łukowskim.

Formy prowadzonej propagandy, trudne czasami do uchwycenia, przybierały różne ramy. Najczęściej były to zebrania i uroczystości, ale obok tego starano się upowszechniać czytelnictwo niemieckich książek i czasopism, rozprowadzano odznaki organizacyjne. Agitacją obejmowano różne grupy zawodowe i wiekowe oraz wszystkie sfery życia społecznego.

W powiecie chełmskim, opanowanym przez DVV, szczególną uwagę przywiązywano do zagadnienia wychowania dzieci w duchu narodowo-socjalistycznym. Sprowadzano podręczniki i czasopisma dla dzieci z Niemiec, a równocześnie bojkotowano książki zalecane przez polskich nauczycieli. Wymieniony Juliusz Lindner podczas wakacji w 1938 r. podjął próbę zorganizowania dwumiesięcznej wycieczki do Niemiec dla 75 dzieci. W roli oficjalnego organizatora wystąpił Związek Młodzieży Polskiej w Niemczech pn. „Dobroczynność". Cała akcja nie doszła do skutku w wyniku interwencji władz polskich. Rolników nakłaniano do pozbywania się gospodarstw i przenoszenia na tereny zachodnie Polski bądź do Niemiec, w efekcie czego do końca 1938 r. wyjechało z województwa lubelskiego 47 osób. Rozwinięto silną agitację na rzecz wyjazdu do Niemiec robotników sezonowych. W istocie rzeczy był to nielegalny przemyt (głównie przedpoborowych), celem przeszkolenia wojskowego w III Rzeszy. Po odbyciu szkolenia dywersyjno-szpiegowskiego część z nich wracała w swoje rodzinne strony. W kwietniu 1939 r. po stwierdzeniu wymienionych faktów Urząd Wojewódzki pozbawił obywatelstwa polskiego jednego z mieszkańców Karolinowa (pow. Chełm), który przebywał w Gdańsku i należał do SA. W stosunku do dalszych siedmiu osób podjęto podobne czynności przygotowawczo-wyjaśniające.

Pokrewną działalność prowadziła również JDP.

Propaganda hitlerowska, uprawiana przez niemieckie organizacje polityczne, nie omieszkała wykorzystać dla swych celów specyfiki narodowościowej Lubelszczyzny. Na tym odcinku szczególną rolę odgrywał DVV, działający w powiatach, gdzie znaczny procent mieszkańców stanowili Ukraińcy. Drogą podsycania antagonizmów narodowościowych starano się szerzyć defetyzm. Głoszono więc hasła o niemieckich planach utworzenia niepodległej Ukrainy, nawoływano do tworzenia tzw. oddziałów samoobrony przed Polakami. Fakty te zadecydowały o wystąpieniu Urzędu Wojewódzkiego (w kwietniu 1939 r.) do Min. Spraw Wewnętrznych w sprawie likwidacji placówek Niemieckiego Związku Ludowego w woj. lubelskim.

Obydwie wymienione organizacje rozwinęły również niezwykle aktywną działalność oświatową, która posiadała jednoznaczny, nacjonalistyczny i antypaństwowy charakter. Główną rolę na tym odcinku spełniał DVV. Organizował on cały aparat tajnego nauczania przy wykorzystaniu lokalnych sił pomocniczych i wędrownych nauczycieli. W ramach prowadzonych zajęć odbywało się nauczanie języka niemieckiego, historii i geografii Niemiec. Objeżdżający teren nauczyciele wędrowni nie ograniczali swej roli do działalności oświatowej. Z całą pewnością byli oni głównymi agitatorami partii, a często pozostawali na usługach wywiadu III Rzeszy.

Pierwsze objawy nacjonalistycznej agitacji oświatowej uwidoczniły się w 1933 r. M.in. we wsiach Stawek, Woli Korybutowej, kol. Janowicy, kol. Stefanów i Zaróbkach (pow. Chełm) dzieci pochodzenia niemieckiego odmawiały uczenia się języka polskiego. Przeprowadzone w tej sprawie dochodzenie wykazało, że jest to efekt działalności kantorów Juliusza Lindnera i Rudolfa Krygiera, którzy rzekomo organizowali naukę religii, a w rzeczywistości prowadzili lekcje języka nie-

Dokończenie na str. 14

Co dalej po maturze :

Zmierzch dyplomów

Henryk Pająk

ODWIEDZIŁEM niedawno swoją rodzinną miejscowość i któregoś dnia nogi same zaniosły mnie do liceum, które dokładnie 30 lat temu miało zaszczyt przyznać mi świadectwo dojrzałości. Mury „budy" były wakacyjnie wyciszone, parkiety skrzypiały, ze ścian spoglądały ku mnie niezliczone twarze absolwentów, jednako młodych w 1953 r. i 1983 r. — choć teraz dzieli ich całe pokolenie.

Wyszedł mi naprzeciw dyrektor, za moich czasów młody nauczyciel matematyki, który przerwał studia na trzecim roku i poszedł uczyć, bo socjalizm domagał się oświaty, a oświata nauczycieli. Dyrektor zbliża się już do emerytury i nie ma w sobie nic z dawnego imperatora, który rzucał na kolana całe klasy, a na egzaminach wstępnych czynił z matematyki pępek świata. I mnie byłby oblał. W twierdzeniu Talesa stosunek odcinków na jednym ramieniu kąta równa się stosunkowi odpowiednich odcinków na drugim ramieniu, a ja pominąłem to słowo „odpowiednich", co miało kapitalne znaczenie dla twierdzenia i całej mojej karriery. Wywiązała się nierówna dysputa, on chciał mnie naprowadzić na samodzielne odnalezienie słowa „odpowiednich", ja próbowałem odgadnąć, o co mu chodzi. W końcu zapytał, kim jest mój ojciec. „Robotnikiem" — odpowiedziałem. „No dobrze, możesz odejść".

Przypomniałem mu tamten egzamin z Talesa. Machnął ręką. — Proszę pana, teraz na egzaminie wstępnym cieszę się, gdy kandydat coś w ogóle słyszał o twierdzeniu Talesa. Mnie już nie wolno grymasić: na 85 miejsc zgłosiło się 63 kandydatów. Oblało tylko 8. Zapewniam pana, że 30 lat temu ocalałoby nie więcej niż 40!

Czy pochodzenie robotnicze uratowało moją karierę? Nie śmiałem go o ten szczegół pytać. Zrozumiałem jednak, że on wtedy musiał domagać się ode mnie słowa „odpowiednich" w twierdzeniu Talesa. Bo wtedy proporcja liczby kandydatów do liczby miejsc wynosiła 3:1 i dwoje dzieci musiało odpaść od każdego miejsca w pierwszej licealnej. Teraz jest inaczej, „A jak tak dalej pójdzie — cytuję słowa dyrektora — to z czasem będzie odwrotnie — 1:3. Mam nadzieję, że wtedy będę już na emeryturze i nie będę musiał błaźnić się przed młodzieżą".

Tak. Nagle cała nasza publicystyka odkryła, że młodzież nie chce szkół średnich ogólnokształcących i że maleje liczba kandydatów na studia uniwersyteckie, podczas gdy moje pokolenie prześladowała proporcja 3:1 i gdy w 1957 r. zdawałem na polonistykę UMCS w Lublinie, musiałem odesłać do domu dwóch kandydatów do mojego miejsca. Daniel Passent i KTT w „Polityce" piszą o kryzysie popytu na szkoły licealne i wyższe. Oczywiście Passent broni liceów ogólnokształcących jako szkół dających wiedzę humanistyczną, choć zupełnie bezradnych w epoce technologii i technokracji. W konkluzji bogato zdobionej statystyką Passent stara się dowieść, że wbrew pozorom nie ma nadprodukcji w szkolnictwie licealnym i że gdy w Polsce na tysiąc mieszkańców przypada 14 uczniów średnich szkół ogólnokształcących (zawodowych 51), to w Austrii aż 58 (zawodowych 19), w Japonii 69 (13), Francji 73 (20) itd. „W jednej Politechnice Krakowskiej jest więcej doktorów niż w całej Finlandii — pisze Passent. — Mamy już proporcjonalnie więcej inżynierów niż RFN i USA, a jednak to myśmy się u nich zapożyczyli, a nie oni u nas". W szkolnictwie średnim widzi Passent procesy „głęboko szkodliwe klasowo", mianowicie gwałtowne zmniejszanie się liczby dzieci chłopskich — w latach 1970—77 liczba ta spadła z 14,6 proc. do 9,2 proc.

Nie zamierzam polemizować z Passentem rozprawiającym o krzywdach klasowych: 30 lat temu mój nauczyciel matematyki wyrządził krzywdę jakiemuś dziecku inteligenckiemu, darując mi słowo „odpowiednich", zapewne tylko dlatego, że byłem synem robotnika, a nie zgniłego inteligenta. Ze statystyki wynika, że inteligencja bierze teraz srogi odwet, eliminując dzieci robotników i chłopów. Dowodzi to również, że krzywdy klasowe są historycznie zmienne, nawet w socjalizmie. Ale są oznaki ponownej zmiany: na odbytej w początku lipca naradzie młodego aktywu partyjnego nadzwyczaj owacyjnie oklaskano projekt jednego z młodych: na studia wyższe powinna typować organizacja młodzieżowa w zakładzie pracy! Pachnie mi to kolejną krzywdą klasową.

A przecież źródeł kryzysu szkolnictwa ogólnokształcącego oraz — jeśli nie jawnego kryzysu, to wyraźnego regresu popularności studiów wyższych, zwłaszcza uniwersyteckich — szukać należy nie w preferencjach klasowych lub strukturalnych w szkolnictwie, czy też w znacznie większych dotacjach stypendialnych na te czy inne rodzaje szkół, zwłaszcza zawodowych — lecz w realiach form awansu społecznego dostępnych wczoraj i dziś; w aktualnym rynku pracy — pracy sta-

Mała prywatność

Waldemar Piasecki

W LIPCU bieżącego roku wystartowało po indeksy znacznie mniej młodzieży niż przed rokiem i mniej, niżby się można było spodziewać jeszcze w maju, przed maturami. Na wielu kierunkach chętnych do pobierania studiów było mniej niż miejsc dla nich przeznaczonych. KTT w „Polityce" (powołując się na „Życie Warszawy") pisał nawet, iż liczba przygotowanych stanowisk nauki w skali całego kraju jest większa niż liczba przystępujących do egzaminacyjnej próby. Jest to zjawisko niepokojące i warte rzetelnego i kompetentnego przebadania.

W tekście tym takiej analizy nie będzie, bowiem za wcześnie jest na podsumowanie ilościowe z tegorocznego naboru, a także i dlatego, że ewentualne dywagacje warto by poszerzyć o porównania wskaźników ludzi studiujących na określoną jednostkę populacji w Polsce i gdzie indziej oraz o to samo w odniesieniu do posiadaczy dyplomów uczelni w stosunku do ogółu zatrudnionych.

Być może pewną ilustracją będą dane uzyskane w UMCS. Otóż w lipcu br. nie udało się wypełnić limitu przyjęć na: matematyce (120 miejsc, zabrakło 45 osób), fizyce (90 i 51), chemii (60 i 35), ekonomii (160 i 20), polonistyce (140 i 32), filozofii (20 i 6), rusycystyce (70 i 26). Jedynie na kierunkach Wydziału Pedagogiki i Psychologii były osoby, które nie dostały się z powodu braku miejsc. Na ekonomii niekorzystna tendencja została zmniejszona dzięki transferowi kandydatów, którzy zdawali na geografię i zdali, ale nie zostali przyjęci. Na dwóch filologiach: angielskiej i romańskiej z ledwością skompletowano pełne składy. Na anglistykę na 46 miejsc zdało 46 osób, zaś na romanistykę na 30 wolnych miejsc udało się znaleźć 29 osób. Kiepski był poziom egzaminów na studia zaoczne, a w wielu przypadkach kandydaci rejterowali tuż przed próbą.

Coś to chyba mówi...

Obok analiz liczbowych, problem spadającego zainteresowania wyższym wykształceniem można rozpoznawać inaczej, wycinkowo, pytając młodzież, dlaczego nie chce korzystać z oferowanego jej dobrodziejstwa edukacji wyższej.

Kilka takich wypowiedzi chciałbym przedstawić, pozostawiając ocenę argumentacji Czytelnikom.

Ewa

czyli nie chcę być zwykłą „biurwą"

— Czy pan wie, co to znaczy „biurwa"? Jest to dziewczyna zza biurka, przy którym siedzi w biurze. Czy tam siedzi potrzebnie, czy zupełnie bez sensu, nie jest ważne. „Biurwa" i już...

Los „biurwy" jest marny, bo zwykle nigdy nie wychodzi poza swoje „biurestwo". Coś tam liczy, układa tabele, robi zestawienia. Awansować może na „starszą biurwę", „nadbiurwę" itd. Ale wyrwać się z tych papierków jest jej trudno. Prawie nie sposób.

Taki właśnie los spotkał wiele moich koleżanek, które wybrały się na ekonomię, czy na administrację. Przychodzą do roboty, rozłożą papier, posiedzą godzinę i poplotkują, przerzucą papiery, zaparzą herbatę lub kawę, pogadają, coś tam obliczą, ułożą pisemko, zjedzą obiad, zapalą papierosa i zaczną się szykować do wyjścia. Za taką robotę dostają te 8—9 tysięcy, czasem nawet mniej. Jaka praca, taka płaca. I odwrotnie. Trzymają się tego „biurestwa", bo pogodziły się już ze swoją rolą zawodową. Byle odwalić, byle dosiedzieć do końca pracy. Satysfakcja? Czy pan żartuje? Tu chodzi o te parę groszy na ciuch jakiś, na kosmetyk. A resztę i tak trzeba władować w dom, w życie...

Że niby przesadzam? Że nie wszystkie dziewczyny tak kończą? Większość moich koleżanek to urzędniczki, a jak nie „biurwy" to nauczycielki, co w sumie na jedno wychodzi. I, proszę pana, w ogólnej masie takie są proporcje. Najwięcej dziewczyn idzie po studiach do tej roboty.

Dlatego nie ciągną mnie studia. Maturę zdałam na czwórkach. Średnią na świadectwie miałam powyżej czterech (chyba 4,20?). Zainteresowania przejawiałam raczej humanistyczne, choć i z „matmą" sobie radziłam. Zastanawiałam się nad polonistyką, potem nad ekonomią i ostatecznie dałam sobie z tym spokój. Rodzice też nie byli zaskoczeni moją decyzją...

Co będę robić? Pójdę do pomaturalnej szkoły hotelarskiej, to daje jakąś szansę na znalezienie ciekawszej roboty. Może gdzieś w prywatnym zajeździe, czy pensjonacie? Nie zamierzam też zwlekać z małżeństwem. Jak się trafi jakiś chłopak do rzeczy i forsiasty, to nie będę się długo wahała.

Czy moi rodzice mają studia? Naturalnie. Ojciec jest ekonomistą i pracuje jako kierownik działu. Matka skończyła handel wewnętrzny i robi w przedsiębiorstwie handlowym jako planistka, czy coś takiego...

*

Ewa jest ładną dziewczyną i pewnie na ulicy oglądają się za nią mężczyźni w różnym wieku. Gadaliśmy trzy godziny. Odniosłem wrażenie, że jest jakaś znudzona, rozczarowana. Nawet naciągnięcie jej na temat Miss Lubelszczyzny i Bieszczad, z wcale nie naciąganym komplementem („Byłabyś ozdobą tego spędu dziewczyn bez luster w domu..."), nie spowodowało ożywienia dziewczyny. Ewa kończy w sierpniu dziewiętnaście lat.

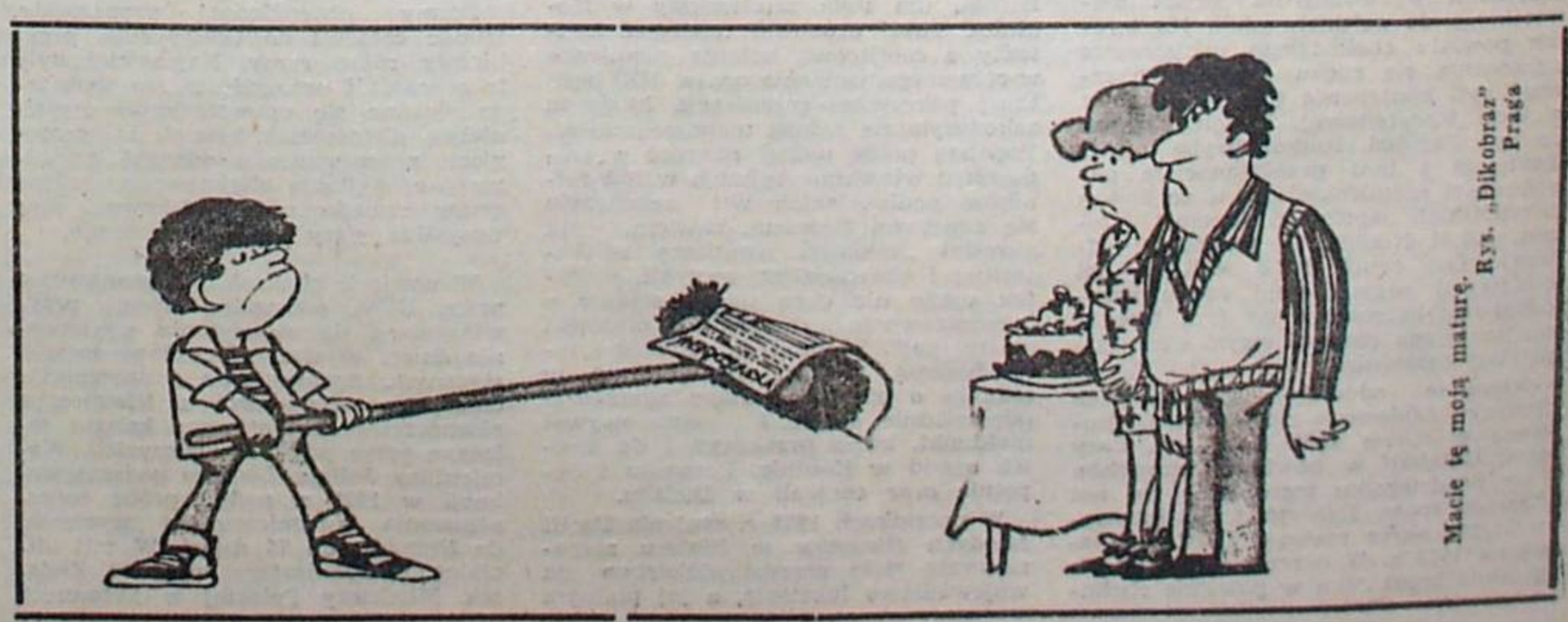

Macie tę moją maturę. Rys. „Dikobraz" Praga

indeks czy warzywniak ?

nowiącej przecież podstawowe kryterium tego awansu; w atrakcyjności — konkretnie zaś w dochodowości poszczególnych zawodów; wreszcie w społecznej organizacji pracy pozwalającej (lub nie) na potwierdzenie tożsamości zawodowej i życiowej człowieka.

Jak te podstawowe przesłanki mają się do rzeczywistości? To, co nazwałem realiami form awansu społecznego, który to awans w dobrze, rozsądnie zorganizowanym społeczeństwie powinien być niemal utożsamiany z awansem zawodowym — zmieniało się u nas w ciągu dziesiątków lat. Mniej więcej w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej awans społeczny zapewniała często głównie prawomyślność polityczna; tysiące wykształconych ludzi tkwiło na posadkach urągających logice zatrudnienia i rządzenia w ogóle, ponieważ byli z różnych powodów nieprawomyślni. A jednak młodzież pchała się do szkół i uczelni — bo w sytuacji powszechnego zacofania i analfabetyzmu „szkoła" stanowiła synonim awansu, kształcić się oznaczało — wybijać się ponad przeciętność. Gdzieś od 1956 roku przez następne 20 lat rygor prawnomyślności jako warunku awansu łagodniał systematycznie: na tle coraz bardziej oświeconego i wymagającego otoczenia dyktat dyletantów stawał się nie do zniesienia. Kto kończył studia, lądował na ogół w obrębie swojej specjalności. Jednak problem zatrudnienia nie daje się dziś sprowadzić jedynie do polityki kadrowej, mniej lub bardziej trafnej, to w końcu problem bilansu popytu i podaży na rynku pracy.

Tu zaś pojawiły się kłopoty, ściśle zresztą związane z trudnościami gospodarczymi. Pierwszą oznaką była blokada zatrudnienia. Krył się za nią nie tylko spadek wydajności pracy, lecz także narastający nacisk podaży ludzi ze średnim lub wyższym cenzusem. Był to nacisk niemal wyłącznie na nieprodukcyjną sferę gospodarki, na sferę stanowisk urzędniczych i kierowniczych, na instytucje, urzędy, oświatę miejską i wielkomiejską, na takąż służbę zdrowia itd. Spotęgowały ten tłok rażące dysproporcje cywilizacyjne między miastem a wsią, między ośrodkiem wielkomiejskim a zapyziałą powiatówką — tam ostry brak specjalistów, ludzi z wykształceniem, tu daje się ciężkie łapówki za zahaczenie się w mieście i nie jest już ważne, czy w swojej specjalności. Każdy teraz może mnożyć przykłady humorystycznych finałów zatrudnienia: inżynier — taksówkarzem, polonista — owczarzem, elektronik — zaopatrzeniowcem, absolwentka AR — referentem w dziale zbytu węgla.

To chyba wystarczający powód do frustracji, a także sygnał ostrzegawczy dla obecnych kandydatów na studia. Ale powód nie jedyny. Następne — to niskie płace, ślepy zaułek dla perspektywy awansu, wreszcie kolosalnie długi staż po własne mieszkanie. Młodzież to widzi, zna to z autopsji, dowiaduje się oto, że studia, które dla pokolenia ich rodziców były równoznaczne z awansem społecznym i zawodowym, teraz stają się problematycznym okresem kwarantanny, po którym otrzymuje się dyplom donikąd, papierek bez pokrycia na rynku pracy. Tak więc realia form awansu społecznego poprzez pracę i zawód dawno już wyszły z automatyzmu — wykształcenie równa się praca i zawód. Zawód to coś przeważnie już innego niż wykształcenie, coś, co się zdobywa w walce, w stażu, w rzutkości, zdolnościach, w pracowitości. Każdy nowy absolwent jest intruzem dla establishmentu w instytucji, urzędzie, zakładzie pracy.

Przez 30 lat dawaliśmy pracę każdemu, kto chciał pracować. Za jaką płacę, to inna sprawa. Jak przydatną dla gospodarki — też inna. Gdyby zlikwidować, bez wyraźnej szkody dla gospodarki, trzecią część stanu zatrudnienia, wypełniając tę lukę lepszą wydajnością i lepszą społeczną organizacją pracy, wówczas otrzymalibyśmy dowód, że mamy do czynienia z tzw. ukrytym bezrobociem. Natomiast bezrobocie wśród ludzi z cenzusem, a wraz z nim kryzys kształcenia i wykształcenia, wyszło z form utajonych, stając się „jawnym" problemem społecznym. Dlaczego dopiero teraz? A choćby dlatego, że w ogólnym kryzysie wszystkie pomniejsze kryzysy także wyłażą na wierzch: zwężony front inwestycyjny, zatrzymanie wielu kluczowych budów, kryzys surowcowy i blokada zatrudnienia musiały postawić znaki zapytania nad tą dziedziną, która nie miała dotąd żadnych trudności surowcowych — nad szkolnictwem średnim i wyższym.

Rozczarowania młodych ludzi z dyplomami nie są zjawiskiem przejściowym, związanym z kryzysem gospodarczym czy też kończeniem edukacji przez młodzież z dekady wyżu demograficznego. Nastąpiło chyba trwałe zaspokojenie popytu na ludzi z wykształceniem, stanowiące wypadkową dwóch czynników — wydajności naszych uczelni i potrzeb rynku pracy. Rewolucji przemysłowej na miarę marzeń poprzedniej dekady i ekipy raczej nie ma co oczekiwać, co najwyżej pewnego „uprzemysłowienia" rolnictwa oraz rozwoju rzemiosła, które, mimo jego strukturalnych a może nawet doktrynalnych słabości, kryje jeszcze znaczne rezerwy rozwoju, a zatem zatrudnienia.

Pozostaje jeszcze drażliwy temat wspomnianej „krzywdy klasowej", nierównych szans młodzieży chłopskiej i robotniczej w walce o indeksy, a nawet matury. Obowiązujący do niedawna system punktów za pochodzenie sprawił, że niektórzy kandydaci już przed egzaminami dysponowali 40—50 punktami ze stu kilkudziesięciu możliwych. Były to zatem preferencje dla przeciętności czy dla klasy robotniczo-chłopskiej? Osobiście wolę być leczony przez człowieka, który na akademię medyczną dostał się bez tych punktów. Jeszcze bardziej nie chciałbym być leczony przez synalka rodziców z cenzusami profesorskimi, którzy swoją pociechę przepchnęli bez punktów i bez trudu, niezależnie od tajności testów egzaminacyjnych, komputeryzacji ocen itp. rzekomych obiektywizacji.

Istotny jest nie sam system rekrutacji, lecz poziom kształcenia. Śmiem twierdzić, że umożliwia on przebrnięcie przez studia niemal każdej miernocie: ten osobliwy egalitaryzm, czyli dyplom dla każdego, kto tylko się dostanie, sprawia, że najważniejszym wyczynem staje się egzamin wstępny. **Postawienie znaku równania między egzaminem wstępnym a otrzymaniem dyplomu stwarza fałszywe hierarchie ważności i fałszywe problemy, w tym przypadku problem rzekomej krzywdy tej czy innej grupy społecznej.** Rzeczywiście krzywdzące społecznie jest tylko istnienie parasola ochronnego nad tą częścią studiujących, którzy dostają się na wyższą uczelnię w wyniku „chodów", a potem przez cały okres studiów mają wiatr w plecy, dzięki przeróżnym koneksjom rodziców. Układy pokoleniowe są bowiem naturalne: ci, którzy studiowali 18—20 lat temu, mają swoich kolegów mocno usytuowanych w hierarchiach uczelnianych — oraz dzieci, które właśnie wybierają się na studia! To zresztą tylko jeden z licznych „układów" — są jeszcze liczni znajomi znajomych i kolegów. Gdyby studia były u nas wyczynem intelektualnym, potwierdzeniem zdolności, jak tu i ówdzie na świecie, wówczas nie odważyłbym się pchać swojego miernego synalka w objęcia byłych kolegów uniwersyteckich — wiedząc, że w ten sposób tylko wyrządzam mu krzywdę. Ale nie społeczną.

Jarosław

czyli „trzeba coś małe wziąć w ajencję, od razu się poprawi zdrowie..."

— Tak śpiewa Andrzej Rosiewicz i ja się z tym zgadzam. Mam, tak się składa, dwóch starszych braci. Obaj pokończyli studia. Jeden geografię, drugi prawo. Ojciec jest lekarzem, a matka stomatologiem. Oboje pracują ciężko i do czegoś, jak to się mówi, doszli. Do mieszkania własnościowego, po trzydziestu latach pracy, i samochodu fiat 125p. Oboje bardzo by chcieli, żeby ich synowie pokończyli studia...

Najstarszy Mirek pracował, po studiach, rok na uczelni. Potem zaczepił się u prywaciarza robiącego ceramikę. Od dwóch lat ma własny interes. Produkuje zabawki plastykowe, głównie na wtryskarkach. Zatrudnia trzech ludzi. Ma volkswagena golfa przywiezionego z RFN i mieszkanie spółdzielcze. Ma też żonę, która jest fryzjerką. Na miesiąc mają razem ponad 150 tysięcy. Dzieciaków na razie nie planują.

Rysiek jest młodszy od Mirka o dwa lata. Po studiach chciał robić aplikację, ale nie miał mu kto tego „załatwić". Założył warzywniak wspólnie z kolegą. Teraz prowadzi go z żoną i szwagierką. Nie narzeka...

Ponieważ przykład braci dowodzi, że studia są niepotrzebne, postanowiłem nie tracić czasu i od razu iść w ślady „brejdaków". Myślę o boutique'u z ubiorami babskimi. Są pewne szanse, że to wyjdzie. Największy kłopot z lokalem, ale to się przecież da jakoś załatwić.

Czy mi nie żal studiów? Ja zapytam z kolei. Czy panu nie żal, że młodzież po studiach nie ma perspektyw na osiągnięcie czegoś, w dającym się określić czasie? Czy pan wie, dlaczego inżynier zarabia w Polsce mniej niż robotnik? Czy pan wie, dlaczego profesor uniwersytetu ma mniej niż kierowca? Odpowie mi pan? Ja panu powiem. Młodzież nie da się już więcej zbajerować. Patrzy dziś nie na hasła, ale na to, co w garści. Na konkrety.

*

Jarek wie, czego chce. Oprócz tego jest przekonany o swoim powodzeniu w realizacji owego „dochodzenia do czegoś". Przypomina mi aktywistów młodzieżowych epoki Gierka. Z powodu tej pewności...

Janusz

czyli gwiazdy przez okno taksówki

— Zawsze marzyłem o astronomii. Chciałem podróżować wśród gwiazd, odkrywać nowe galaktyki...

Obecnie złożyłem wymagane papierki potrzebne do zostania taksówkarzem. Moi rodzice mają dużego fiata i sami mi to wyjście zaproponowali. Prawdopodobnie dlatego, że nie chcieli mnie wypuszczać z domu (wiedzą, że bardzo lubię jeździć) oraz dlatego, że oboje są życiowymi pragmatykami stojącymi twardo na ziemi. Ojciec jest inżynierem i już trzykrotnie pracował w krajach arabskich na kontraktach. Matka jest krawcową. Oboje wyszli ze skrajnej nędzy i sami dochodzili do znośnych warunków egzystencji. Myślę, że właśnie dlatego nie pochwalają pomysłu studiowania — przez ich jedynaka — astronomii. Jedynym kierunkiem, jaki by „przełknęli", mogłaby być medycyna, ale mnie to w ogóle nie interesuje. Stąd właśnie powstał kompromis: „taryfa".

Jakie mam plany życiowe? Takie, jak większość moich rówieśników. Spokojny dom, żona w domu. Mała prywatność. Ja wiem, że to dziś postawa niepopularna, bo zachęca się nas do aktywności, ale młodzież oczekuje gwarancji i nie pójdzie na aforyzmy w stylu „Wy sami jesteście swoją gwarancją". To nic nie mówi.

*

Spokój, z jakim to mówi, nie nastraja patetycznie. Będzie oglądał gwiazdy przez okno swojej taksówki. Trudno mu w tym przeszkodzić...

• • •

Pisał KTT w swoim felietonie „Sygnał alarmowy" („Polityka" nr 26):

[...] Jeżeli młodzi ludzie w skali masowej dochodzą do wniosku, że studiować i zdobywać pozycji na drodze wykształcenia wyższego po prostu się nie opłaca, to podejmują tym samym może rozsądną decyzję z punktu widzenia własnego losu w aktualnie istniejących warunkach (sam bym był znacznie spokojniejszy mając syna hydraulika niż np. filozofa), ale z punktu widzenia narodu podejmują decyzję morderczą.

Czy należy do nich apelować, prosić, błagać? Oczywiście, że nie. Jest to pokolenie, które — wbrew pozorom — rozumuje racjonalnie, zimno i empirycznie, i które w dodatku chce być normalne. [...]

Co zatem robić, skoro nie skutkują deklaracje o „zielonym świetle" dla młodych, skoro nie funkcjonuje w ich świadomości mitologia ZMP-owska z jej odsmażaną (dziś) frazeologią („My mogliśmy wykrzesać zapał i tyrać bez pytania o zapłatę, to i wy możecie coś z siebie dać" itd.)? Nie jestem politykiem społecznym — nie wiem. Wiem natomiast, że mamy rok 1983, a nie — powiedzmy — 1953. Wiem, że na świadomość, aspiracje i hierarchię wartości dzisiejszych maturzystów pracował czas, realne dokonania Polski w owym czasie oraz sami rodzice (nierzadko byli ZMP-owcy), starający się — i bardzo słusznie, bo na tym polega postęp społeczny — aby ich dzieci startowały z wyższego pułapu i wyżej zaszły, żeby nie musiały zaczynać od walki z analfabetyzmem, z coca-colą i stonką zrzucaną z samolotów, żeby nie musiały budować nowej Nowej Huty, lecz komputery trzeciej generacji i mikroprocesory. I jeżeli udaje nam się — w dużym stopniu — taką właśnie młodzież wychować, to nie dziwmy się dziś, że jest sceptyczna, obojętna, czy wręcz niechętna, gdy słyszy apele o zaangażowanie, poświęcenie, wysiłek. Gdyby było inaczej, rzecz miałaby się wbrew logice; i to nawet tej zwykłej, chłopskiej.

Młodzież jest nieufna i przekonać ją mogą tylko konkretne fakty. Osobiście wątpię, czy takie, jak podniesienie — przy wrzawie propagandowej — kredytów MM do 150 tysięcy w kwietniu 1982 roku, po czym wycofanie się z ich względnie powszechnej dostępności i to już po dziesięciu miesiącach. Nie jest dla mnie żadnym argumentem, że źle prognozowano, oceniano rozmiary zjawiska pn. MM i kredyty zaciągało za dużo osób. Nie jest również argumentem, że „dzięki" kredytom zabrakło deficytowych towarów dla innych oraz i to, że młodzież na potęgę spekulowała nabytymi na MM dobrami. Nie dlatego, żebym nie wierzył, iż tak być mogło. A dlatego, że przy podejmowaniu decyzji o nowych formach kredytowania robiono to po dyletancku, głupio i bez znajomości już nie tylko praw rządzących zbiorowościami ludzkimi, a rynkiem. Wszystkie „negatywy" MM można (ba, trzeba!) było przewidzieć. Po to, żeby nie brać się potem do „uzdrawiania" delikatnej tkanki zaufania nożem kuchennym i tasakiem. Przykład losów kredytu MM jest znamienny i powinny być z niego wyciągnięte wnioski.

Młodzież nie powinna być rozpieszczana, głaskana i kokietowana. Nie tylko dlatego, że jest to niewychowawcze, ale także, że ona tego po prostu nie lubi. Chce być traktowana poważnie, chce być normalna.

Jeżeli tak, powinna mieć pełną świadomość realiów kryzysu, jaki mamy w kraju i jeszcze przez ładnych parę lat mieć będziemy. Powinna przyjąć do wiadomości, że jej start jest inny, trudniejszy niż kolegów starszych o pięć lat. Dłużej też będzie dochodzić do standardu życiowego swoich starszych kolegów. Są to twarde, brutalne realia dnia dzisiejszego. Powinna też wiedzieć, że państwa nie stać na wyrównanie tych dysproporcji i że w związku z tym wiele zależy od niej samej. W ogromnej większości młodzi zdają sobie z tych prawd sprawę próbując te nierówności startowe niwelować. Dorabianiem po zajęciach na uczelni, zakładaniem młodzieżowej spółdzielni budowlanej, czy — także — otwieraniem warzywniaka.

Co zrobić, żeby młodzież pozyskać, żeby współuczestniczyła w mozolnym gramoleniu się z kryzysowego dołu? Odpowiedź jest jedna. Jeżeli nie stać na inwestowanie finansowe w młodzież o rozbudzonych przecież — lecz wcale nie na wyrost — aspiracjach, powinno się zainwestować autentycznym partnerstwem i realnymi gwarancjami, że to, do czego namawia się ją dziś (i do czego się ją próbuje przekonać), nie stanie się jutro czczym gadaniem i wekslem bez pokrycia.

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (14)

Pani Maria

1933 – 1983 kamena 50 lat CHEŁM · LUBLIN

Mirosław Derecki

PRZYNAJMNIEJ raz w tygodniu, zawsze o tej samej późnej wieczornej porze, dzwonił w domu telefon, a gdy podnosiłem słuchawkę rozlegał się w niej wysoki, śpiewny, naznaczony „kresowym" akcentem głos: „A to pan Mirrrk? No, co tam słychać nowego?" Tym sakramentalnym zwrotem pani Maria rozpoczynała długi monolog na temat ostatnio przeczytanej książki, obejrzanego filmu lub przedstawienia teatralnego. Swoje dywagacje szpikowała ciętymi, często złośliwymi komentarzami, okraszając je jeszcze na dodatek co pewien czas dosadnym zwrotem w jednym z pięciu znanych przez siebie, expedité, języków. Potem szły plotki i ploteczki towarzyskie. Za czym — dyskusja na temat ostatniego numeru „Kameny". Następnie — pogwarki na tematy polityczne...

Tak było całymi latami. I nawet wówczas, kiedy mój były redaktor naczelny, Maria Bechczyc-Rudnicka, przekroczyła dziewięćdziesiąty czwarty rok życia i pewne oznaki zaczynały świadczyć, że jej żelazny organizm powoli słabnie i wyczerpuje się, nie dotyczyło to sfery intelektu. Do ostatniej chwili życia ta niezwykła kobieta zachowała kryształową jasność umysłu i fenomenalną precyzję myślenia.

Trzeba powiedzieć, że z podobną precyzją Maria Bechczyc-Rudnicka kształtowała przez całe dziesięciolecia mit dotyczący jej własnej postaci. I choć była i tak osobowością niepowtarzalną, starała się dodatkowo spowijać pewne fragmenty własnego życiorysu w nimb tajemniczości, niedopowiedzeń i niedomówień. A może działo się tak po prostu dlatego, że pani Maria nie chciała się przyznać, że jest z pochodzenia Rosjanką?

Urodziła się w Warszawie w 1888 roku jako córka carskiego urzędnika Piotra Mataftina skierowanego na odpowiedzialne stanowisko w Priwislieńskim Kraju. Podczas chrztu w warszawskiej cerkwi otrzymała imiona: Maria Ksenia. Oboje rodzice pochodzili z dobrej, zamożnej rosyjskiej szlachty, w żyłach Piotra Mataftina płynęła kropla krwi tatarskiej.

Po śmierci ojca Marii Kseni jej matka wyszła powtórnie za mąż, tym razem — o ile wiadomo — za wojskowego, generała Pawłowa. Nie wiem, jak się kształtowały relacje ojczyma i pasierbicy, w każdym razie jest rzeczą zastanawiającą, że w czasie naszej blisko trzydziestoletniej znajomości pani Maria nigdy ani słówkiem nie wspomniała o drugim mężu swojej matki. Zawsze i wszędzie występowała w jej opowieściach tylko matka, zresztą istota dość nieokreślona, nieomal abstrakcyjna, rodzaj dobrego ducha, który nawiedzał co pewien czas córkę zabierając ją bądź to na wakacje „u wód" cichego, prowincjonalnego Nałęczowa, bądź też na dalekie europejskie wojaże, do francuskich lub szwajcarskich uzdrowisk. To właśnie w pięknej, odwiedzanej przez elegancką międzynarodową publiczność francuskiej miejscowości kuracyjnej, pamiętającej jeszcze czasy rzymskie, spłynęła po raz pierwszy na małą dziewczynkę magia teatru, której w latach dojrzałych miała się poświęcić bez reszty.

W wydanej w ponad sześćdziesiąt lat później książce „Godziny osobliwe" Maria Bechczyc-Rudnicka napisała: *Kiedy w dwunastym roku życia spędzałam z matką lato w Aix-les-Bains [...], pewnego wieczoru uchyliły się nagle przede mną wielkie drzwi sali teatralnej. Była to zaledwie chwila, lecz w owej chwili powstało niezniszczalne wrażenie i zapamiętałam na zawsze oświetlony prostokąt i w nim wizję pełną romantycznego powabu.* Teatr urzekł więc młodą rosyjską warszawiankę już we wczesnym dzieciństwie. Chłonęła go później jako pensjonarka, uczennica w Institutie Błagorodnych Diewic w Petersburgu, skąd na przedstawienia w słynnej „aleksandrynce" wożono szlacheckie panny eleganckimi karetami, i jeszcze później, gdy studiowała na wydziale literacko-historycznym petersburskich Wyższych Kursów Żeńskich, założonych przez znanego historyka Konstantego Bestużewa-Riumina.

Powstałe w 1878 r. „kursy Bestużewskie", miały za zadanie wypełnić lukę, jaką stanowił wydany przez władze carskie zakaz studiowania przez kobiety na rosyjskich uniwersytetach. Nawiasem mówiąc dopiero od 1911 r. uznano fakt ukończenia Wyższych Kursów Żeńskich za równoznaczny z uniwersyteckim dyplomem. Poziom „kursów Bestużewskich" był bardzo wysoki, wykładali tam naukowcy tej miary, co znakomity znawca epoki napoleońskiej prof. Eugeniusz Tarlé, znawca Wielkiej Rewolucji Francuskiej prof. Mikołaj Kariejew, prof. Tadeusz Zieliński — historyk kultury greckiej i filozof, oraz filolog Jan Baudouin de Courtenay. To właśnie im, a w szczególności profesorowi Kariejewowi, zawdzięczała Maria Ksenia Mataftin pasję do historii i zainteresowanie Rewolucją Francuską. Równie wielkie wrażenie sprawiła na niej osobowość profesora Aleksandra L. Pogodina, który był rzecznikiem przyjaźni narodów słowiańskich, mającej m.in. za zadanie przeciwstawiać się naporowi pangermanizmu. Jako członkini studenckiego koła, założonego przez prof. Pogodina, zorganizowała przyjazd studentek petersburskich do Warszawy, miasta jej dzieciństwa, w celu złożenia wieńca przed pomnikiem Adama Mickiewicza.

Kiedyś pani Maria opowiadając o tej podróży z Petersburga do Warszawy pokazała mi stare pożółkłe zdjęcia wycięte z paryskiego czasopisma „L'Illustration": u stóp pomnika autora „Pana Tadeusza" stoi grupa ubranych w ciemne, długie do ziemi suknie studentek. „Ta najwyższa, w centrum, to ja" — powiedziała z rzadką u niej nutą smutku za dalekimi, minionymi czasami młodości.

Maria Bechczyc-Rudnicka była kiedyś elegancką, wysoką i szczupłą panną, o zwracającej uwagę swą urodą twarzy. Urodzie towarzyszyła inteligencja, ciekawość świata i... samodzielność. Nic dziwnego, że tuż po studiach wyjechała na dwa lata do Paryża studiować historię Wielkiej Rewolucji. Owocem tego wyjazdu była wydana w 1912 r. w Petersburgu praca: „Iz istorii obszczestwiennogo mnienija wo Francji w epochu rewolucji (oktiabr 1792 — janwar 1793)" oraz druga, wydana w 1913 r. również w Petersburgu, „Napoleon i prefekty". Ta druga praca naukowa ukazała się w książce zbiorowej wydanej dla uczczenia osoby prof. Kariejewa a zatytułowanej: „Nikołaju Kariejewu — uczeniki i towariszczi po naucznoj rabotie".

Najprawdopodobniej w czasie jednego z wojaży po zachodniej Europie panna Mataftin poznała Polaka, ziemianina posiadającego klucz majątków na Podolu, Antoniego Bechczyc-Rudnickiego, zwolennika teorii Romana Dmowskiego. Antoni Bechczyc-Rudnicki uprawiał publicystykę polityczną i później znajomość zawodu dziennikarskiego miała mu zapewnić kawałek chleba za czasów II Rzeczypospolitej, gdy rodowe ziemie pozostały poza granicami odrodzonej Polski.

Po ślubie małżonkowie zamieszkali w dobrach pani Marii, w pskowskiej gubernii, które kupiła ona (kilka tysięcy dziesięcin) po otrzymaniu dużego spadku po swojej babce. Ten majątek ziemski miał być doskonałą lokatą dla wielu tysięcy rubli w złocie, jako że właśnie wybuchła pierwsza wojna światowa i pieniądze traciły wartość... Należy tutaj podkreślić, że do sprawy utraty swej fortuny Maria Bechczyc-Rudnicka potrafiła do końca życia zachować filozoficzny dystans. Uważała to za konieczność dziejową, tym bardziej zrozumiałą i oczywistą dla niej, historyka. Chociaż, zwierzyła mi się kiedyś, że w pewnym momencie brak zaplecza finansowego stał się dla niej prawdziwym szokiem...

Otóż po przyjeździe w 1919 r. z objętej wojną domową Rosji do Warszawy Maria i Antoni Bechczyc-Rudniccy „stanęli" — jak to mieli w zwyczaju — w Hotelu Saskim, wraz z resztką fortuny oraz dwoma bardzo rasowymi chartami. Niestety, po kilku miesiącach owe resztki fortuny wyczerpały się do cna. I właśnie wtedy — jak opowiadała pani Maria — doznała owego największego w swym życiu szoku: **nie było pieniędzy!** Mówiła, że nie potrafiła wówczas tego pojąć, nie dochodziło to ani do jej świadomości ani do jej wyobraźni. Jak to? Dotąd, od kiedy pamiętała, gdy trzeba było wyjechać za granicę, albo gdy w Petersburgu, Paryżu lub Rzymie skończyła się gotówka, wystarczyło pójść na pocztę i zadepeszować do administratora majątku lub do banku i... pieniądze się pojawiały. A tu — kompletna pustka, całkowita, namacalna **niemożność!**

Aby z czegoś żyć, zaczepili się oboje jako nauczyciele języków w gimnazjum w Lipnie, miasteczku położonym między włocławkiem a Toruniem. Tam pani Maria kładła do głów córkom i synom miejscowych rzeźników, sklepikarzy i urzędników magistrackich swoją wytworną francuszczyznę wyszlifowaną w Institutie Błagorodnych Diewic i w bibliotekach, kawiarniach oraz teatrach paryskich. W 1923 r. udało im się przenieść do Warszawy, gdzie Antoni Bechczyc-Rudnicki otrzymał posadę w Polskiej Agencji Telegraficznej. Po pewnym czasie wyjechał jako korespondent do Londynu, co przyszło mu tym łatwiej, że spokrewniony był z jakimś angielskim lordem.

Tutaj następuje jedna z kolejnych, nie wyjaśnionych białych plam w życiorysie pani Marii. Nigdy nie wspomniała ani słowem o wyjeździe z mężem na — jak to się dzisiaj mówi — „placówkę zagraniczną". Mieszkała w stolicy przy ulicy Brackiej, na poddaszu, które kiedyś było pracownią jednego z malarzy. Opracowywała dla „Przeglądu Mierniczego" kronikę zagraniczną, wyjeżdżała kilkakrotnie na międzynarodowe kongresy mierniczych i astronomów-geodetów w charakterze tłumaczki. A równocześnie coraz częściej w prasie warszawskiej zaczęły się ukazywać jej opowiadania, artykuły i eseje. W 1935 r. zadebiutowała powieścią „Sol lucet Germaniae. Przygoda profesora Schmidta". W rok później ukazała się następna książka Marii Bechczyc-Rudnickiej — „Niezwykłe przygody zwykłego człowieka". Owocem kilkumiesięcznego pobytu w 1935 r. i 1936 r. na terenie ekspedycji wykopaliskowej w Biskupinie stała się książka napisana wspólnie z Antonim Bechczyc-Rudnickim — „Dziw. Opowiadanie na tle życia Prasłowian". Wreszcie, w 1937 r., wyszło „Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście", zaś w 1938 r. — znowu wspólnie z mężem napisany— zbiór nowel „W retorcie życia".

Nie wiadomo gdzie, kiedy i z jakiego powodu Antoni Bechczyc-Rudnicki rozstał się ze światem doczesnym. Po prostu — umarł i nic więcej na ten temat pani Maria nie mówiła. Wiadomo jedynie, że przed wojną wyszła powtórnie za mąż za Edwarda Wrockiego, znanego historiografa muzycznego oraz zbieracza muzykaliów, dyrektora Biblioteki Operowej w Warszawie, który po pierwszej wojnie światowej przywiózł z Rosji do Polski niezwykle bogate zbiory nutowych rękopisów wybitnych polskich i zagranicznych kompozytorów. Te bezcenne papiery zostały w dużej mierze zniszczone podczas Powstania Warszawskiego.

Powstanie zastało Wrockich na ich działce na Saskiej Kępie, gdzie wybrali się rankiem 1 sierpnia 1944 r. po owoce. Nawet okna w mansardzie przy ulicy Brackiej nie zamknęli — dla przewiewu — i, choć mieszkanie ocalało w całości, pani Maria przez następnych trzydzieści lat nie mogła odżałować, że padające deszcze i śniegi zniszczyły część mebli, w tym — biureczko w stylu Ludwika XV...

•

1 października 1944 r. Maria Bechczyc-Rudnicka i Edward Wrocki dotarli do Lublina i zgłosili się do pracy w PKWN. Ten okres życia pani Marii jest dość dobrze znany, warto więc jedynie przypomnieć, że Edward Wrocki został mianowany kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury a ona jego zastępcą. Że wraz z prof. Kleinerem zorganizowała Lubelski Oddział ZLP, że pomagała Janowi Parandowskiemu w restytuowaniu PEN-Clubu, w latach 1945/46 prowadziła dział literacki i teatralny w lubelskim dwutygodniku „Zdrój". W 1947 r. objęła stanowisko kierownika literackiego Teatru im. Osterwy i pozostawała na nim aż do roku 1964, działając równocześnie w Lubelskim Oddziale ZLP, któremu przez trzy lata (1949-1952) prezesowała. Właśnie w ostatnim roku swojej kadencji, w porozumieniu z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, podjęła sprawę reaktywowania „Kameny". Od 1952 r. była jej współredaktorem, a od 1960 r. do końca 1964 r. — redaktorem naczelnym.

Należę do tych osób, które uczyły się pisarskiego rzemiosła pod okiem Marii Bechczyc-Rudnickiej. Dobrze pamiętam owe godziny poświęcone przez kierowniczkę redakcji na wspólną analizę naszych tekstów, na wskazywanie błędów kompozycyjnych, na logiczne i drobiazgowe umotywowanie, dlaczego reportaż lub artykuł wymaga przeróbki, albo dlaczego nie nadaje się do druku. Podobnie — ze zbieraniem materiału: może pani Maria przekazała nam część swoich dawnych zamiłowań historycznych, bo ci, którzy przeszli przez jej szkołę, nie potrafią pisać bez zgromadzenia najpierw szerokiej dokumentacji stanowiącej zaplecze dla podejmowanego problemu.

•

Co nam zawsze szczególnie imponowało w Marii Bechczyc-Rudnickiej, to — poza intelektem, kulturą osobistą i szeroką wiedzą — jej niespożyta energia i siła woli. Skądinąd pryncypialność i egotyzm, a także chłodne — przy pozorach przyjacielskości — dystansowanie się wobec ludzi, nawet bardzo z nią zżytych oraz swoisty sposób zaborczości, jaki stosowała wobec otoczenia, nie przydawały jej zbyt wielu przyjaciół. Ale to już zupełnie inne zagadnienie.

Tak czy inaczej, swoją osobowością, stylem bycia i swą żywotnością wzbudzała powszechny podziw. Mnie zaimponowała — a młodemu człowiekowi zaimponować niełatwo — po raz pierwszy w dniu pogrzebu Edwarda Wrockiego. Pracowałem już wtedy w redakcji „Kameny", moje biurko stało naprzeciwko biurka pani Marii. Kiedy prosto po powrocie z cmentarza zasiadła za tym biurkiem, zobaczyłem kompletnie złamaną, trzęsącą się, postarzałą o dwadzieścia lat kobietę. Ale ona nagle, ogromnym wysiłkiem woli, zaczęła „brać się w garść". Ręce jej drżały, ale ścisnęła w palcach długopis i zaczęła adiustować nadesłane do redakcji teksty. Łzy płynęły jej po policzkach, łykała je, lecz wzięła się za rozrysowywanie makiety przyszłego numeru... I wtedy przyszło mi do głowy, że ona tak szybko nie umrze, jak mi się jeszcze zdawało przed pół godziną. Istotnie. Żyła jeszcze bez mała lat dwadzieścia i był to okres najbardziej twórczy w jej życiu. Napisała wówczas najlepsze swoje recenzje teatralne, wydała „Godziny osobliwe", „Uchylanie masek" i „Nagłe zamyślenia". Jeszcze mając lat dziewięćdziesiąt oprawała książkę pamiątkową z okazji 35-lecia lubelskiego teatru dramatycznego. Ofiarowując mi egzemplarz autorski napisała w dedykacji: „Szanownemu i Drogiemu Panu Mirkowi Dereckiemu na pamiątkę długoletnich sympatycznych kontaktów kulturalnych. 18 XII 79".

Były to nie tylko kontakty kulturalne, ale też relacje zahaczające — po tych wielu latach znajomości — o sferę przyjaźni, czy nawet nieledwie — rodzinności. Czułem się nie tylko podwładnym pani Marii, a później — jej kolega po fachu, ale także... jakby czymś w rodzaju dalekiego kuzyna, jakiegoś tam „elotecznego wnuka". Dlatego nić sympatii, jaka nas łączyła, przekraczała nieraz granice czysto konwencjonalnych układów towarzyskich czy też zdawkowych uprzejmości. By-

liśmy bliscy, a zarazem dalecy sobie, zaprzyjaźnieni, a obcy. Chyba najbardziej w tym wszystkim łączyło nas podobne poczucie humoru i pewne zdystansowanie do otaczającego świata.

Może dlatego też pani Maria nie obrażała się na mnie z powodu różnych kawałów, jakie robiliśmy jej wraz z innymi, również młodymi, kolegami redakcyjnymi.

Jako dawna przedstawicielka „carskich klas posiadających" pani Maria zwykła się była odżegnywać na każdym kroku od swojej zamierzchłej przeszłości i wszystkich „przegniłych reliktów", i chętnie podkreślała swe głębokie zrozumienie dla „obrotu koła historii", „konieczności dziejowej" „głębokiego gniewu ludu" etc. Czasem jednak dawała się wciągnąć w pułapkę. Rozpoczynaliśmy z nią rozmowę o „dawnych dobrych czasach Imperium". Pani Maria — krytykowała. Zmienialiśmy ton i zaczynaliśmy potępiać w czambuł wszystkie możliwe instytucje carskiej Rosji. Pani Maria — potakiwała gorąco. Wtedy wytaczaliśmy główną kolubrynę: cesarska konną lejb-gwardię. „Nic, tylko pustogłowie, kartografstwo, szampan, Cyganki, marnotrawienie ojcowskich fortun...!" — grzmieliśmy. „No, tak, no, całkowita słuszność! No bezapelacyjna prawda!" — przytakiwała pani Maria. Ale w pewnym momencie oczy jej nabierały ciepłego wyrazu i, zapatrzona w odległą przeszłość, mówiła miękkim, śpiewnym głosem: „Ale... CÓŻ TO BYLI ZA PIEKNI MĘŻCZYŹNI, CI KONNI GWARDZIŚCI! CO ZA MĘŻCZYŹŹŹNI...!"

W dyskusjach miała Maria Bechczyc-Rudnicka język giętki i cięty, w chrakteryzowaniu ludzi nierzadko sięgała do bogatej skarbnicy dosadności, jaka zawarta jest w twórczości Mikołaja Gogola. Jednego ze znajomych literatów podsumowała kiedyś krótko i lapidarnie: „Roża [morda], szto w tri dnia nie oplujosz...!" W towarzyskich rozmowach redakcyjnych wspinała się na wyżyny literatury francuskiej, ale już a chwilę tłumaczyła nam z zapałem różnice między takimi pojęciami jak „skatina", „mierzawiec" lub „swołocz"...

Czasami jej sformułowania wprawiały człowieka w osłupienie. Zatelefonowała do mnie kiedyś rano, bardzo zdenerwowana:

„Panie Mirrrku! Mnie głowę ukradli!"

„Głowę pani ukradli! Z karku?" — zacząłem dowcipkować.

„No, niech pan nie udaje głupiego! Głowę z cmentarza mi ukradli!!!"

Chodziło o „głowę Chrystusa", piękną rzeźbę przypisywaną Canovie, którą pani Maria kazała umieścić na grobowcu męża. Uczucie pychy — któż mu nie ulega? — kazało jej dać pod rzeźbą odpowiednią informację na temat słynnego włoskiego twórcy. No i znalazł się złodziej — znawca sztuki, który wyłupał marmurowe dzieło i prawdopodobnie wziął za nie dobre pieniądze od jakiegoś zbieracza. „Hic transit gloria...!"

•

W ostatnich miesiącach życia Maria Bechczyc-Rudnicka została wybrana na przewodniczącą OKON-u, w którego skład wchodziły osoby z lubelskich środowisk kulturalnych i twórczych.

Zmarła w czerwcu 1982 r. zapisując swój księgozbiór Bibliotece im. H. Łopacińskiego w Lublinie, a pieniądze po niej pozostałe przeznaczając na stypendium dla młodego literata specjalizującego się w krytyce teatralnej. Żegnała ją na cmentarzu gromada życzliwych osób, grała orkiestra, młody ksiądz, poeta Wacek Oszajca, pokropił trumnę, co jednemu z moich kolegów po piórze było bardzo nie w smak. Pytam się — dlaczego? — skoro zmarła wyraziła także życzenie... „O tempora, o mores...!" — jak by powiedzieli starożytni Rzymianie. Zapragnęła też Maria Bechczyc-Rudnicka, aby na miejscu, gdzie dawniej na grobowym pomniku wmurowana była głowa Chrystusa, umieścić na marmurowej tablicy cytat z Anny Achmatowej: „Nie chciałam iść do ziemi, z kochanej ziemi mej!"

Ja zaś często wspominam te chwile, gdy w końcu października 1981 r. szukałem nad Jeziorem Genewskim, wśród pochyłych uliczek Lozanny, sklepu z perfumami, o których przywiezienie prosiła pani Maria. Miały to być perfumy, których markę i nazwę pamiętała z czasów, gdy jako dziecko jeździła tutaj, do podnóża Alp ze swoją matką, postacią prawie już abstrakcyjną — o której właściwie nie wiem nic ponad to, że była matką małej, może bardzo nieszczęśliwej dziewczynki, co wcześnie straciła ojca.

ZESZCZENIA PRZEMYSKIE 1983

Wstęp do Zamku

Ireneusz J. Kamiński

OLEG Filatczew ma 46 lat, mieszka w Moskwie, tamże ukończył Wyższą Szkołę Artystyczno-Przemysłową, wywodzącą się z uczelni założonej w 1825 roku przez hr. Stroganowa i swego czasu noszącą jego imię. Studiował malarstwo monumentalne, później zaś odbył praktykę w Akademii Sztuk Pięknych i tak przygotowany skupił swoją uwagę na twórczości portretowej, która wszakże nie wyczerpuje jego zainteresowań. W monumentalnych, chwalących się przejrzystą konstrukcją portretach Filatczewa, przedstawiających niejednokrotnie osoby z najbliższego mu otoczenia — oprócz wyrazistych twarzy zwracają uwagę dłonie: wąskie, smukłe, o długich palcach, które zdają się sięgać w odległą przeszłość sztuki europejskiej, bo tak bardzo przypominają ręce z renesansowych obrazów.

Wiktor Ni urodził się we Władywostoku w 1934 r. Rzemiosło artystyczne poznawał w rosyjskim mieście Pienzie, a potem w jednej z moskiewskich uczelni (im. Surikowa), by po skończeniu studiów związać się z uralskim Orenburgiem, gdzie stał się autorytetem dla młodego środowiska twórczego. Zmarł niedawno, pozostawiając m.in. takie obrazy olejne i temperowe na drewnie, jak „Powrót (1945)", „Chleb", „Wrócił żołnierz z frontu" czy „Kombajniści". Są to prace czytelne, prezentujące treści sugerowane tytułami, opowiadające o zwyczajnych sprawach zwyczajnych ludzi — ale w sposób idealizujący rzeczywistość. Świat kreowany przez Wiktora Ni jest klarowny, wszystkie jego elementy funkcjonują we „właściwych" im miejscach i rytmach, nawet obrazy o tematyce wojennej (pożegnania i powroty), często podejmowanej przez artystę, podporządkowane są statycznej, klasycyzująco - naiwistycznej strukturze formalnej, której głównym budulcem jest linia.

„Problemy twórcze tych tak bardzo odmiennych w swej sztuce artystów — zauważy Galina Pletniewa, moskiewski historyk sztuki — wytyczone zostały przez tendencje, które na Zachodzie zyskały miano „nowego realizmu", jednakże na naszym gruncie przybrały cechy specyficzne, pośród których istotną rolę odegrał zwrot do tradycji wczesnego Odrodzenia. Wraz ze zwrotem ku tym tradycjom artystycznym wzrósł szacunek dla rzemiosła, „umiejętności", mistrzostwa, jako do jednej z cech wysokiej sprawności warsztatowej. Współczesna myśl teoretyczna poszukując określenia, wybrała dla tego kierunku nazwę „malarstwo rysowane". Oczywista jest umowność tego sformułowania. Niemniej zawiera ono określone kryterium artystyczne, akcentujące spontaniczność wypowiedzi wyrażającą się w jasnym, harmonijnym obrazowaniu świata".

Keazym Isynow urodził się w bułgarskim Sadovec w 1940 roku. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Nenko Bałkańskiego (zm. 1977), jednego z najwybitniejszych malarzy i pedagogów, już za życia uznanego w swym kraju za klasyka. W Bułgarii i poza jej granicami wystawia od 1968 roku, zajmując się głównie malarstwem. Uprawia ponadto rzeźbę w kamieniu i drewnie, wykonuje biżuterię z kości słoniowej i drewna. Posiada tytuł Zasłużonego Artysty Plastyka — bo faktycznie jest mistrzem warsztatu, z równą biegłością stosującym technologie nowe, co tradycyjne oparte na recepturach mało już chyba u nas znanych. Obrazy Keazyma Isynowa są statyczne i hieratyczne, pod względem formalnym wykazują pokrewieństwo z malarstwem ikon, wabią smaczkami fakturalnymi i kolorystycznymi, ową złocisto-czerwoną tonacją, którą popularnie zwie się królewską.

„Artysta rozkoszuje się urodą świata, swym artystycznym bytowaniem — stwierdza Dymitr G. Dymitrow, krytyk bułgarski, który historię sztuki studiował w Warszawie i językiem polskim włada jak własnym. — Praca jest dlań radością, tak jak dla muzyka z prawdziwego zdarzenia śpiew czy wykonywanie muzycznego utworu. Nie odnajdziemy nigdzie nawet śladu twórczego niepokoju czy też niezadowolenia. (...) Sposób komponowania obrazu jest bezbłędny i klasyczny. Postacie, twarze osób portretowanych są dokładnie wymodelowane, jak gdyby wyrzeźbione. Doprowadzony jest też do doskonałości sposób posługiwania się światłem".

Urodzony w 1932 roku, Dieter Gantz jest docentem Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w stolicy NRD. Tematem jego gwaszy jest życie codzienne wielkiego miasta, rozwijające się na ulicach, dworcach, w halach targowych. Osobną grupę prac Gantza stanowią malarskie studia do scenografii teatralnych, m.in. do nie dokończonej opery „Lulu" Albana Berga, w których dostrzec można wyraźne powinowactwa z ekspresjonizmem niemieckim.

„Tutaj traktowanie typów postaci — komentuje dr Siegfried Wege z NRD — zmierza po trosze w pobliże karykatury. Teatralne gesty, niezwyczajne pozy postaci i ekspresyjny układ grup, wszystko to wskazuje, że artystę żywo poruszają namiętności i mentalność przeróżnych ludzkich indywiduów".

Węgier Marton Barabas liczy 31 lat. Ukończył średnią plastyczną szkołę zawodową i wydział malarstwa WSSP. W ramach zagranicznych pokazów współczesnej sztuki węgierskiej wystawiał m.in. w Paryżu, Wenecji i Kioto. Jego obrazy to połączenie malarstwa z gotowymi przedmiotami, np. z klawiszami fortepianu.

„Nie ulega wątpliwości — stwierdza krytyk węgierski Lorand Hygyi — że w pracach Martona Barabasa zaznacza się obecność nowego pojmowania przesłanek malarstwa metafizycznego i surrealistycznego. Jednocześnie w jego dziełach przejawiają się momenty „historyzujące", będące pewnego rodzaju transpozycją oraz przejawem sytuacji późnych dziesiątków lat naszego stulecia".

Edward Dwurnik urodził się w 1943 roku. W swoich „rysunkowych obrazach" okazuje się być bezceremonialnym, okrutnym obserwatorem polskiej rzeczywistości społecznej, negliżującym mity niegdysiejszej propagandy przy pomocy bardzo prostych zabiegów formalnych i semantycznych, w których znaczną rolę odgrywają same tytuły płócien: „Mój szef jest moim kumplem", „Syn pomoże", „Fabryka piachu", „Galanteria metalowa" — przewrotnie korespondujące z treścią przedstawień.

Z kolei Andrzej Fogtt (ur. 1950) maluje wielkie obrazy olejne (cykl „Żywioły"), w których intryga wizualna, polegająca na świadomej eksploatacji reguł fizjologii koloru, dominuje nad autorską intencją do kształtowania struktur o charakterze symbolicznym...

Taką twórczość takich artystów, można m.in. oglądać na X Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych, czynnej od lipca do września w szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich. W wystawie biorą udział plastycy z Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii, Węgier, Związku Radzieckiego i Polski, ogółem 12 autorów, z których większość spotkała się ponadto na imprezach integralnie już związanych (od 1979 roku) z pokazem, a mianowicie: na plenerze w Kamieniu Pomorskim i na trzydniowym sympozjum teoretycznym, trwającym od 29 do 31 lipca.

Decydując się na katalogowe, uproszczone przedstawienie malarstwa wybranych artystów, tych właśnie, którzy decydowali o różnorodności ideologicznej i formalnej wystawy, kierowałem się przeświadczeniem, że takie ujęcie, mimo wszelkie swe ułomności, posiada sens większy, niż wysilanie się na ogólniejsze, bardziej zasadnicze refleksje estetyczne czy historyczne. Rzecz w tym, że jak zdecydowana większość polskich krytyków sztuki, skromne posiadam wyobrażenie o współczesnych problemach i tendencjach w sztuce krajów socjalistycznych. Co prawda już trzykrotnie uczestniczyłem w Prezentacjach, ale trudno powiedzieć, by materiał informacyjny zaczerpnięty podczas tych wizyt dostarczył mi wiedzy do sądów możliwie pojemnych i odpowiedzialnych. Także inne wystawy malarstwa czy grafiki, które kierują do Polski zaprzyjaźnione kraje, nie poszerzają owej wiedzy w stopniu proporcjonalnym do wielkości i skomplikowania zagadnień, jakimi żyją artyści w państwach socjalistycznych. Za mało mamy kontaktów bezpośrednich, personalnych z krytykami i twórcami z Bułgarii, Związku Radzieckiego, NRD czy Węgier, zbyt rzadko pojawiają się w naszych księgarniach odpowiednie publikacje. Ale główna przeszkoda na drodze do lepszego poznania się tkwi — powiedzmy to w końcu otwarcie — w czymś innym: w przeświadczeniu, że to właśnie oni powinni się od nas uczyć nowoczesnego rozumienia sztuki. Z kolei w niektórych krajach socjalistycznych istnieje pewna rezerwa wobec polskiej twórczości artystycznej, która przekreśliła tradycyjny paradygmat kreacji plastycznej. Wymiana wartości w tej sferze ma więc ostatecznie charakter niejako salonowy [illegible] ny wiedzą o co chodzi, wymieniają uprzejmości, ale unikają otwartego dialogu. Jeśli toczy się on, to głównie w kuluarach.

Czy szczecińskie Prezentacje, zainicjowane w 1965 roku jako impreza koleżeńska, a dopiero z czasem wprowadzone do stałego kalendarza międzynarodowej wymiany kulturalnej, czy więc spotkania w Zamku Książąt Pomorskich mają styl salonowy? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć w najbliższej przyszłości, relacjonując przebieg wspomnianego sympozjum, w którym oprócz czterech krytyków polskich uczestniczyli historycy i krytycy sztuki ze Związku Radzieckiego (Galina Pletniewa), Bułgarii (Dymitr G. Dymitrow) i NRD (Siegfried Wege). Polaków miało być więcej, ale „w ostatniej chwili" jeden z nich musiał (imperatyw kategoryczny) pojechać bodaj do Włoch, inny montował kolejny odcinek reportażu artystycznego z Paryża, no i wiecie państwo, rozumiecie...

K. A. JAWORSKI

WIĘCIERZE

Okładka trzeciego z kolei zbiorku poetyckiego Kazimierza Andrzeja Jaworskiego — „Więcierze" (wieniec sonetów), który ukazał się w 1932 r. i był poświęcony Antoniemu Słonimskiemu.

JAK RYBAK W MROK ZANURZAM SWYCH WIERSZY WIĘCIERZE,
CHCĄC JASNOŚCIĄ NAKARMIĆ SERCE, CO SIĘ ŻALI.
NIE JESTEM Z TYCH, CO BIERNIE KŁADĄ SIĘ NA FALI,
NIE WABI MNIE WYGODNE I ZACISZNE LEŻE.

W SŁOŃCA SKWARNEGO BLASKI I W GWIAZD MIGOT WIERZĘ,
ZACHWYCA MNIE TO WSZYSTKO, CO SIĘ OGNIEM PALI.
SERCE ŚWIATA W MYCH PIERSIACH TWARDYM MŁOTEM WALI,
PRAGNĘ PRZEBIEC NAJSZYBCIEJ WSZYSTKIE ZIEMI ŚCIEŻE.

DRAPIEŻNIE PRĘŻĘ WOLI MEJ OSTRE PAZURY,
BY WGRYŹĆ SIĘ W MIĄŻSZ OWOCU, CO ZWIE SIĘ PRZYGODA.
ABY SŁOŃCE ZABŁYSŁO, TRZEBA ZERWAĆ CHMURY,

TRZEBA KOCHAĆ, JAK UCZY DO MŁODOŚCI ODA,
NIEZŁOMNIE STAĆ, JAK STOJĄ TATR WAROWNE MURY,
DOPÓKI Z NÓG NIE ZWALI CIĘŻKA ŚMIERCI KŁODA.

I

JAK RYBAK W MROK ZANURZAM SWYCH WIERSZY WIĘCIERZE

i łudzę się nadzieją, że wyłowię radość,
co rumieńcem zapali smutnych twarzy bladość
i od myśli bolesnych na chwilę ustrzeże.

I chcę wierzyć, że słowem serca opancerzę
przeciw ciosom okrutnym, których każdy ma dość,
że uczynię pragnieniom najłatwiejszym zadość,
prowadząc ociemniałych w słoneczne rubieże.

Niechaj wiersz więc mój będzie radosny i czuły,
aby blade policzki okryły kolory,
by się znów naprężyły zwiotczałe muskuły,

bo musi być uzdrowion każdy, kto jest chory.
Widzicie? Już się chmury na niebie rozsnuły
i będziem mieli jasne ranki i wieczory...

II

CHCĄC JASNOŚCIĄ NAKARMIĆ SERCE, CO SIĘ ŻALI,
gdy czarny pies rozpaczy do gardła mi skoczy,
popatrzę w czyjeś dobre i spokojne oczy,
co mają słodycz nieba i hartowność stali.

Albo spojrzę na chmurki, płynące z oddali,
lub na niebo zachodnie, gdy krwią z rany broczy,
bo wiem, że głaz straszliwy, który serce toczy,
matczyna dłoń natury litośnie odwali.

Kobieta i natura! Znam dobrze te dźwignie:
leczą oczy najdroższe i przyroda leczy...
Dzięki nim ogień w piersiach nigdy nie zastygnie

i żaden cień złośliwy zbytnio nie skaleczy.
I jeszcze jeden lekarz duszę chorę dźwignie:
zaklęty w kartach księgi mądry duch człowieczy.

III

NIE JESTEM Z TYCH, CO BIERNIE KŁADĄ SIĘ NA FALI,
których wiodą za rękę po swej woli bogi:
sam sobie kreślę zawsze linię mojej drogi,
która w dal się rozciąga i sięga wciąż dalej.

Uległość niewolniczą znają tylko mali,
ci, których nigdy w górę nie stąpały nogi.
Walka daje cierpienie, lecz i spokój błogi,
gdy się godność człowiecza buntem rozzuchwali.

Trzeba dumnie przez życie nieść sztandar człowieka
i zwalczać gwałt wszelki i wszelką niewolę,
łzy ścierać z ócz płaczących i pot, co z czół ścieka,

i budzić w niewolniku odwagę i wolę,
aby każdy rwał naprzód jak wiosenna rzeka
i wszyscy wzwyż się pięli jak smukłe topole.

IV

NIE WABI MNIE WYGODNE I ZACISZNE LEŻE,
grążące miękkim puchem w niebyt snu leniwy.
Chcę być strzałą, puszczoną z woli mej — cięciwy,
lecącą jak najszybciej tam, gdzie ja wymierzę.

Ruch i walka — mój żywioł. Jak błędni rycerze
cwałowałbym przez życie, złych przygód myśliwy,
pierś śmiało wystawiając na wichrów porywy;
księżyc z słońcem by dzwonił jak złote talerze.

Bo bliski mi wędrowny szaleniec z la Manczy
i wzrusza mnie pijacka ballada Villona.
Przejść przez życie jak derwisz, który w słońcu tańczy,

jak Bachus, co się śmieje do winnego grona,
by potem stać się sokiem słodkiej pomarańczy
i garścią czarnoziemu, który czesze brona.

V

W SŁOŃCA SKWARNEGO BLASKI I W GWIAZD MIGOT WIERZĘ,

w baranki lekkich chmurek, płynące w błękicie.
Świergotem ptasim modlę się o czerstwym świcie,
brzozami się pochylam żarliwie i szczerze.

Spowiadam się przed tobą, urwiste wybrzeże,
morze wiecznie szumiące, niebiosów odbicie!
Góry harde i skały chropawe jak życie,
z którymi od chłopięctwa zawarłem przymierze!

Ilekroć Boga-m szukał wśród murów kościoła,
w cichych nawach świątyni, mrocznych od witraży,
nie słyszałem, że do mnie organami woła

i nie mogłem go dostrzec zza złotych ołtarzy.
A gdym spojrzał ze szczytu górskiego dokoła,
uczułem, jak Bóg lekko musnął mnie po twarzy.

VI

ZACHWYCA MNIE TO WSZYSTKO, CO SIĘ OGNIEM PALI:
zygzak burzy, co nocą spoza chmur wybłyska,
i wulkan, co ukropem purpurowym tryska,
i watra, rozłożona wieczorem na hali.

Wyciągam dłoń do krwawych jarzębin korali
i wiśnie ust dziewczęcych pragnę poznać z bliska.
O zachodu godzinie wruszenie mnie ściska,
gdy widzę, jak krew ścieka po niebieskiej dali.

Lecz ponad wszystką czerwień droższa mi serdeczna,
czerwień owej miłości, która ludzi brata
i wolna od przemocy, od wojen bezpieczna,

płomienną płachtą zgody ku niebu polata
i głosząc, że zniesiona już krzywda społeczna,
wiąże wolne narody w Republikę Świata.

VII

SERCE ŚWIATA W MYCH PIERSIACH TWARDYM
MŁOTEM WALI,

bliski los mi nie tylko własnego podwórka
i czuję, jak głąb morska ugniata pierś nurka,
by ktoś bez serca śmiał się wśród pereł opali.

Wiem, jak wicher lodowy tych śmiałków obali,
co chcą deptać szczyt świata niby szczyt pagórka,
i jak śmierć najpiękniejsza, bohaterstwa córa,
wieńczy zorzą polarną tych, co w męstwie trwali.

O, serce Mallorego, serce Amundsena,
tych wszystkich, co zginęli, aby żyć na wieki!
Wiem dobrze, że jedyna jest wieczności cena

i wiedzie do niej tylko jeden szlak daleki:
śnieg, morze, lej powietrzny lub skalna morena
i dla dobra ludzkości zamknięte powieki.

VIII

PRAGNĘ PRZEBIEC NAJSZYBCIEJ WSZYSTKIE ZIEMI
ŚCIEŻE,

zanim śmierć mi ukaże ostatni manowiec.
Niechaj miasta się zbiegną niby stado owiec
do zagrody mych źrenic, kiedy je rozszerzę.

Niechaj pierś mą wysmaga wichru tchnienie świeże,
gdy stopy deptać będą błękitny lodowiec.
Niech wśród gromów w czas burzy miota mną żaglowiec,
gdy maszty będą jęczeć pokorne pacierze.

Chcę Cejlonu, Sumatry, Jawy, San Dominga,
atolów koralowych w koronie kokosów,
gdzie mózg przeszywa słońca bezlitosna klinga.

Chcę słuchać syren słodko uwodzących głosów,
gdy łódź ma będzie morze pruć szlakiem wikinga,
celując dziób zuchwale na spotkanie losów.

IX

DRAPIEŻNIE PRĘŻĘ WOLI MEJ OSTRE PAZURY,
uczepiwszy się gzymsu nad mroczną otchłanią,
bo postawiłem w grze tej stawkę nie za tanią:
życie, co jak najdłużej pragnie wielbić góry.

Słońce piją i wicher pory mojej skóry,
gdy idę, obnażony, wąską szczytów granią.
W górze radość się piętrzy lazurową banią,
w dole został daleko świat zły i ponury.

Tatry! Tyle już o was napisałem wierszy,
dziś chcę oddać najprościej to, co czuło serce,
gdy pewien smutny chłopak spojrzał po raz pierwszy

na te wierchy, spękane w wieków poniewierce,
i pojął ten zew szczytów najczystszy, najszczerszy,
co wieścił o pożarze gasnącej iskierce.

X

BY WGRYŹĆ SIĘ W MIĄŻSZ OWOCU, CO ZWIE SIĘ
PRZYGODA,

trzeba oczy mieć młode i pilnie otwarte,
a przecież bez przygody życie nic nie warte
i nie każdy żyć umie jak bezmyślna trzoda.

A przygoda jest wszędzie: to zwie się — jagoda,
co poda ust słodycze lasowi wydarte,
to biedronka, co wpełznie na papieru kartę,
to w biodrach kołysząca się dziewczyna młoda.

Trzeba tylko mieć oczy i serce mieć trzeba,
a zrozumie się srebrny gwiazd na niebie migot,
a usłyszy się gęsi krzyk, lecący z nieba,

a odczuje się liści osikowych dygot
i znajdzie się świat cały w suchej kromce chleba,
i życie będzie jednym korowodem przygód.

XI

ABY SŁOŃCE ZABŁYSŁO, TRZEBA ZERWAĆ CHMURY,
by puszczę zła przetrzebić, konieczna siekiera
i świadomość, jak rąbać, i ochota szczera,
i rytm zgodnych rąk w pracy, by leciały wióry.

Lecz nim nad rąbaniskiem zaświecą lazury,
aby ściąć zło, co bujnym lasem się rozpiera,
trzeba wprzód dobrze wiedzieć, skąd i jak wyziera,
aby już nie wyrosło nigdy po raz wtóry.

Zło — to gdy ja mam buty, a mój brat jest bosy,
kiedy jem syty obiad, a on z głodu pada
i wiatr mu z deszczem targa rozwichrzone włosy,

gdy ciało me wygodnie do snu się układa.
Gdy ja dziękczynne modły wznoszę pod niebiosy,
a nieme wzwyż przekleństwo śle twarz jego blada.

XII

TRZEBA KOCHAĆ, JAK UCZY DO MŁODOŚCI ODA,
i trzeba nienawidzić całą mocą duszy.
Niechaj serce czasami aż do łez się wzruszy,
a czasem będzie zimne jak źródlana woda.

Gdy brat cierpi i płacze, któż mu rąk nie poda,
gdy go biją i głodzą, któż się nie obruszy,
a jednak nieraz żyjem jak w bezludnej głuszy,
niepomni, że za wszystko słuszna jest nagroda.

Kochać? Dobrze, więc tego, co się wgryza w księgi,
aby zło pokonała wreszcie prawda naga,
i tego, czyje plecy znaczą sine pręgi.

A nienawidzić ręki, która biczem smaga,
co bagnet wbija w brata, aby trzos mieć tęgi,
na którym się zasadza cała jej powaga.

XIII

NIEZŁOMNIE STAĆ, JAK STOJĄ TATR WAROWNE MURY,
przeciw losu pociskom niezdobytym szańcem,
być gromów w szczyt bijących dzikim pomazańcem
i synem szalejącej na grani wichury.

Przekuć ciało mizerne na greckie marmury
i upić się na niebie gwiazd srebrzystych tańcem
lub w słońcu zawirować bożym opętańcem,
któremu w takt śpiewają w gruszach pszczelne chóry.

Żyć — to czuć każdym włóknem wielkie życia tętno,
miąższ żywota zębami rozdzierać na ćwierci,
gdy trzeba — być tygrysem albo mrówką skrzętną,

być dzięciołem, co dziobem twardą korę wierci,
i słowikiem, co życia rzuca pieśń namiętną,
dopóki z nóg nie zwali ciężka kłoda śmierci.

XIV

DOPÓKI Z NÓG NIE ZWALI CIĘŻKA ŚMIERCI KŁODA,
jeszcze słońcem, miłością i walką się naciesz,
mów do dziecka uśmiechu swój codzienny pacierz:
niech będzie pochwalona kryniczna pogoda!

A gdy cię już zawoła do siebie przyroda,
gdy zechce cię przygarnąć do snu ziemia-macierz,
nie pytaj mar obłocznych: To wy mnie wołacie-ż?
powiedz czarnej próchnicy swoje męskie: Zgoda!

Dobrze paść się po śmierci na niebieskiej łące
jak niewinne baranki pobożnego chłopka,
pięknie myśleć: ja jestem te zboża szumiące,

moje kości są w kłosach pszenicznego snopka —
a czyż źle rzec: Już teraz ciszy nie zamącę,
było życie jest sonet, przyszedł koniec — kropka.

K. A. Jaworski w świetle korespondencji z Rosjanami

Kazimierz Prus

WAŻNYM momentem bogatej biografii twórczej Kazimierza Andrzeja Jaworskiego były przekłady z literatur obcych. Położył w tej dziedzinie niebagatelne zasługi ogromem spolszczeń, poważnymi osiągnięciami artystycznymi wersji polskich. W 12-tomowej edycji jego utworów „Pismach", przekłady, chociaż daleko nie wszystkie, stanowią sześć tomów. Są to tłumaczenia poezji rosyjskiej i radzieckiej, białoruskiej i ukraińskiej, narodów kaukaskich, czeskiej i słowackiej oraz romańskiej. Przekładał także z języka niemieckiego, francuskiego i esperanto.

Najbardziej upodobał sobie literaturę rosyjską, z której przyswoił naszemu językowi najwięcej utworów. Najdłużej też obcował z twórczością Rosjan, poświęcając im liczne artykuły informacyjno-popularyzatorskie, propagując ich literaturę poprzez odczyty, estradę i radio. Ogromne znaczenie miało wydanie przezeń dziesięciu zbiorków własnych przekładów z poezji rosyjskiej oraz 14 pozycji prozy Rosjan.

Jaworski znał dobrze literaturę rosyjską, a trwałość obcowania z nią spowodowana była upodobaniami, a także poszukiwaniem utworów dla „Kameny". Jak tłumacz gromadził materiał dla czasopisma i zdobywał interesujące go informacje o twórcach rosyjskich oraz zbiorki poetyckie i poszczególne utwory? Oto pytania, na które będziemy poszukiwać odpowiedzi w jego korespondencji z Rosjanami, a ściślej w listach Rosjan do niego, zachowanych w archiwum Jaworskiego.

Jaworski nawiązał osobiste kontakty z Rosjanami już w okresie międzywojennym. Początkujący poeta i tłumacz w 1927 r. zwrócił się do znanego i cenionego pisarza rosyjskiego I. Erenburga z prośbą a autoryzację jego utworów w przekładach Jaworskiego. Tłumacz przełożył kilka opowiadań Erenburga z cyklu „13 fajek". Cztery listy Erenburga świadczą o docenianiu przezeń jego pracy, dzięki której czytelnicy polscy mogli poznać nieznane u nas wcześniej utwory satyryczne pisarza.

W 1936 r. Jaworski wymienił 2 listy z Leonem Gomolickim, proponując mu naapisanie dla „Kameny" artykułów o literaturze rosyjskiej. Ceniony literat i znawca poezji pozytywnie zareagował na zaproszenie do współpracy w czasopiśmie i przesłał artykuły „Poezja w diasporze" — o rosyjskiej liryce emigracyjnej oraz „Puszkin i poezja rosyjska" — o roli tego twórcy w procesie literackim. Jaworski ze swej strony złożył uznanie podówczas rosyjskiemu poecie przekładem jego wiersza „Z nieludzkim, tępym...", który był w 1936 r. zamieszczony w czasopiśmie.

Międzywojenna korespondencja Jaworskiego z Rosjanami jest świadectwem jego przedsiębiorczości, a zarazem odwagi cywilnej. Nie przestrzegając lansowanej powszechnie „dumnej ignorancji" wobec wszystkiego co rosyjskie, tłumacz nawiązał kontakty osobiste z Rosjanami i odważnie propagował ich twórczość poprzez przekłady, edytorstwo i zabiegi czysto popularyzatorskie (odczyty i pogadanki). Jego listy w tym czasie służyły głównie gromadzeniu materiałów literackich dla „Kameny" oraz utworów do tłumaczenia.

Nowe kontakty z Rosjanami, owocujące wymianą listów, nawiązał Jaworski w ćwierć wieku później. Goszcząc w 1960 r. w Związku Radzieckim wraz z delegacją ZLP, poznał kilku pisarzy radzieckich, m.in. S. Marszaka, S. Gorodieckiego, M. Swietłowa, A. Gatowa i W. Bofisowa. Znajomość przedłużył poprzez kontakt listowy z autorem „Grenady" — Swietłowem, a także polonofilem radzieckim i tłumaczem pamiętników Solskiego — Wiktorem Borisowem. Ten ostatni umożliwił Jaworskiemu na początku lat 60-tych wymianę „Kameny" z miesięcznikami radzieckimi „Nowyj mir", „Inostrannaja literatura", „Litieraturnaja gazieta" oraz przesłał mu wybory utworów S. Jesienina i K. Czukowskiego.

Z Aleksandrem Gatowem, poetą i tłumaczem Słowackiego, korespondował Jaworski od 1963 r. do początku lat 70-tych. Największe nasilenie ich wymiany listowej przypada na koniec lat 60-tych. Gatow przesłał Jaworskiemu niektóre swoje zbiorki poetyckie, prosił o przekład do planowanej antologii liryki rosyjskiej niektórych swoich utworów, dziękował za udane tłumaczenia. Wysoka ocena dokonanych tłumaczeń wspierała duchowo naszego poetę i zachęcała do dalszego trudu translatorskiego.

Najtrwalsza i najbardziej owocna przyjaźń połączyła Jaworskiego z Igorem Postupalskim, moskiewskim literatem i krytykiem, badaczem literatury francuskiej i polskiej. Wymienił z nim w latach 1961—71 ponad 100 listów. Z Postupalskim, znającym język polski, konsultował swoje tłumaczenia, wymieniał sądy na temat teorii przekładu artystycznego, dzielił się uwagami o zawartości myślowej i walorach artystycznych poezji ulubionych swoich twórców. Wysłuchiwał jego rad na temat układu projektowanej antologii własnych przekładów poezji rosyjskiej i radzieckiej. Wymieniali także tomiki poetyckie. Rewanżując się za edycje polskie Postupalski dostarczył Jaworskiemu zbiorki wierszy Winokurowa, Jesienina, Jewtuszenki, Pasternaka, Cwietajewej, Achmatowej, Antokolskiego i Wozniesienskiego. Zachęcał do tłumaczenia konkretnych wierszy Mandelsztama, Gumilowa, Briusowa, Iwanowa oraz Wołoszyna, których odpisy przesyłał. Jaworski cenił, a także uwzględniał rady i sugestie radzieckiego krytyka. Z zadowoleniem przyjmował jego pochwały poszczególnych numerów „Kameny", wnikliwe uwagi o jego trudzie translatorskim, rzetelne dane biograficzne do II t. „Pism", czy wreszcie odpis artykułu Gumilowa o Chlebnikowie. Długoletni kontakt z Postupalskim był bardzo pożyteczny dla Jaworskiego i bezpośrednio wpłynął na ilość dokonań tłumaczeniowych oraz ich poziom. Preferencje estetyczne tłumacza krytyk radziecki podbudowywał rzetelną wiedzą. Wymiana informacji i doświadczeń twórczych w równej mierze służyła im obu. Postupalski od 1967 r. zamierzał pisać monografię o KAJ-u, ale przedsięwzięcia nie zrealizował. Swój sąd o przekładach Jaworskiego w związku z pojawieniem się II tomu „Pism" zawarł w liście z 2 X 1969 r.: „Z całego serca gratuluję Panu tego obszernego dzieła. Nie wątpię, że ono przyniesie Panu sławę jednego z lepszych i pracowitszych polskich tłumaczy poezji rosyjskiej". (tłum. moje — K. P.)

Igor Postupalski, najlepszy radziecki przyjaciel Jaworskiego, umożliwił mu także nawiązanie kontaktów listowych z poetą G. Pietnikowem — przedstawicielem młodszego pokolenia futurystów rosyjskich. W latach 1962-71 wymienili między sobą kilkanaście listów. Listy na Krym zawierały ciągle nowe numery „Kameny" i przekłady poetyckie, w tym także wierszy Pietnikowa. Listy adresowane do Lublina niosły najnowsze liryki poety, jego zbiorki poetyckie, prośby o przekłady wierszy. Pietnikow wysoko cenił przesłane mu przez naszego tłumacza przekłady swoich wierszy (list z 21 listopada 1962 r.). Osobista znajomość z tym poetą wpłynęła na poziom wersji polskich jego utworów, gdyż przyjaźń zobowiązywała tłumacza do szczególnej dbałości o teksty i pomysłowości w rozwiązywaniu trudności przekładowych.

Korespondencja Jaworskiego z wymienionymi literatami radzieckimi wzbogacała jego wiedzę o tej poezji, była też impulsem do nowych przedsięwzięć przekładowych i edytorskich. Dotyczyła zagadnień literackich i stanowiła płaszczyznę wymiany poglądów o poezji i sztuce translatorskiej. Umożliwiła ona Jaworskiemu zdobywanie interesujących go materiałów przekładowych, artykułów o literaturze naszych wschodnich sąsiadów i informacji biograficznych o twórcach radzieckich. Była platformą wymiany myśli dobrze siebie rozumiejących ludzi, a dla nas pozostała dodatkowym źródłem wiedzy o bogatym życiu umysłowym i duchowym nieprzeciętnego człowieka.

PLASTER

Edmund Pietryk

TWARDA nawierzchnia. Obolałe wiązadła. Ucieka mi cwaniaczek. Desantowiec szemrany. Ma podobno nieprzewrócone w głowie. Grają systemem cztery, cztery, dwa. On najbardziej wysunięty.

Trener powiedział mi — choćby gość szedł do kibla, to ty za nim. Dziewiętnaście lat. W dodatku ma podobno nieprzewrócone w głowie. Tego by wszędzie kupili. Nie tak jak mnie teraz. Nie wyszedł mi wyjazd za granicę. Władze wyznaczyły za mnie taką sumę, że Szwedzi nie chcieli tyle za mnie zapłacić. Jedni chcieli zarobić na moich poharatanych nogach, a drugim nie opłacałem się w tej sytuacji. Jednych i drugich mało obchodzę.

Jest młodszy ode mnie o równe piętnaście lat. Po gwizdku pyta mnie — będziesz moim plastrem? Tylko pokiwałem głową. Znów mi ucieka. Chwyt za koszulkę. Chłopak leży. Ten chwyt ćwiczyłem siedem lat. Przydaje się. Faul taktyczny. W większości wypadków sędzia nie zauważa. Chłopak leży, patrzy na mnie, pyta — człowieku czy ty jesteś chory? Zobaczymy — jestem chory czy zdrowy. Zobaczymy.

Kiedyś na lidze skosiłem bramkarza. Tamtejsza publika chciała mnie zabić. Po roku wpłynęła propozycja z tego klubu. Mogłem się dobrze sprzedać. Zaryzykowałem. Sprzedałem się. Wchodziłem na pierwszy mecz w tym mieście przestraszony jak szczawik. Buta nie mogłem zawiązać, tak mi ręce latały. Zarobiłem, ale żywy z tego nie wyjdę — tak myślałem. Ale zapomnieli. Zapomnieli, bo już byłem ich. Wybaczyli, bo mieli mnie na własność. Ale miałem tam dobrze. Z samej kopalni piętnaście kawałków i piątkę za mecz. W tamtym czasie, to był pieniądz! Kilka razy się dobrze sprzedałem. Teraz nie jestem chodliwym towarem.

Patrzy na mnie bykiem. Zdolny chłopak, którego mam plastrować. Ja na niego nie patrzę. Gospodarzom ściany pomagają. Jest dobrze, gnieciemy ich. On stoi, ja stoję. Mogę sobie pooglądać ogłoszenia na dolnych trybunach. Reklamy — Układy. Tutaj zakłady upłynniają swoje pieniądze na samochwalenie. Na przykład margaryna gdzieś musi zgubić swój fundusz reklamowy. No, gdzie ma to zrobić? W kościele? Jest dobrze. Tak trzymać. Chłopak patrzy na mnie ze zdziwieniem, z czego ja się śmieję. A ja się śmieję z samego śmiechu. Jest dobrze. Gospodarzom ściany pomagają.

Ze studiami na AWF-ie nie dałem rady. Na sprawdzianach pisemnych robiłem tyle błędów, że sam się potem sobie dziwiłem. A przez fizjologię to już absolutnie nie mogłem przejść. Na widok starej profesorki, zwanej ciotką, załamywałem się. Byłem śmieszny. A ja nie lubię być śmieszny. Na pewno nie nadaję się do śmieszności.

Z twarzy chłopaka widzę, że sam mam złe błyski w oku. Robi grę bez piłki. Jakby mnie chciał ośmieszyć. Biega, ja za nim. Takie zadanie. Za to mi płacą. Ależ cholerna nawierzchnia! Kto jej w końcu nie robił? Nawet jeden prywaciarz. I tak się głupio zawiązała. Raz błoto, a raz kamień.

Jest młody, pewny. Ostatnio na naszym obozie młodzi bunt zrobili. Chcieli wyjechać. Krzyczeli, że my się obijamy, a oni na nas harują. Perfekcjoniści. Kiedyś jeden z drugim po piłkę nam biegał, trawę gryzł, dostawał szkołę, zanim wszedł w towarzystwo, a teraz taki buntuje się.

Nie upilnuję go. Omega podchodzi mi do gardła. Ale ma przyśpieszenie! Znów opieprz od bramkarza. Kto go nazwał Harpagonem? Nikt nie wie, ale przylgnęło do niego. Stul dziób — mówię. Gdy próbowano mnie w Legii, chodziłem patrzeć na korty, jak grają sławni aktorzy, pisarze, dziennikarze. Na każde dobre zagranie Olbrychskiego biliśmy brawo, a często wychodziły mu asy serwisowe.

Nie upilnuję go. Środa. Dzisiaj duży gaz na trybunach. Większość przyszła prosto z roboty. Kilkunastu stoi na dachu przyległej fabryki. Stadion otoczony czterema fabrykami, obok węzeł kolejowy. W jakiej to wsi byliśmy na obozie, gdzie górale mówili, że leży ona na siedmiu wierchach. A ten klub stoi na czterech fabrykach.

Chodzi przy linii bocznej. Tylko czeka, żeby mnie wygłupić. Mój pierwszy trener mówił — nie nauczy się kaczka pływać jak jej się w dupę wody nie naleje. Wiem, że chcą mnie kończyć w drużynie, ale ja jeszcze sercem do gry umiem fałszować swoją metrykę urodzenia. Znów Mongoł przeniósł o cztery metry piłkę ponad poprzeczkę. Nie lubi, gdy tak się na niego mówi. Kiedyś jednego juniora gonił po całym stadionie, kiedy tak go nazwał. Dogonił go i skopał.

Znów mi ucieka. Ale ma przyśpieszenie. Ja w prawym kolanie nie mam łękotki. Jego, jako wschodzącą gwiazdę, skierowano by z takim gipsem do słynnego profesora Prohazki w Wiedniu na operację za ciężkie dolary. Mnie operował tutaj nieznany przeciętniak. Cud w ogóle, że mam nogę.

Ośmieszył mnie. Gol. Gwizdy. Harpagon podbiega do mnie z pyskiem. Nawet go nie słychać poprzez te gwizdy. Patrzy na mnie, jakby chciał mnie zabić. Wschodzącą gwiazdę całują koledzy z drużyny. Całują do zdechu. Przy mnie nie ma już nikogo. Pusto. Byłem wędrującym talentem. Dorobiłem się trochę na transferach. U jednego trenera byłem gumowym uchem drużyny. Donosiłem. Żeby się mnie bali. Żeby się ustawić. Żeby mieć pozycję. Teraz nie ma przy mnie nikogo. Pusto. Zerowo.

Piłka na środku. Zaczynamy. Mam psa. Kosztował mnie pięć patyków. Mam psa, bo zrezygnowałem z dziewczyny. Pracowała w prywatnym sklepiku z pamiątkami. Miała układy z cinkciarzami. Chciała mi pożyczyć pięćset dolców wpisowego, żebym przystał do nich. Nie skorzystałem. Kto wie, czy się teraz nie złamię. Pies to nie wszystko. Rok temu jeszcze wycyganiłem od prezesa talon na samochód. Poparł mnie trener. To był dobry człowiek. Często wpuszczał zawodnika na kilka minut przed końcem meczu, żeby skasował za meczowe. Trener się zmienił i teraz szczypiory w natarciu. Już nie mam tej odwagi. Parę razy włożyłem na mecz podwójne ochraniacze. Mam tylko jedną parę nóg. Ten nowy to treser, a nie trener. A już najgorsze zaczęło się we mnie, jak mi jeden szpenio złamał żuchwę.

Nie poradzę sobie z nim. Pięć lat temu, to ja złamałem jednemu dwa palce. Zły byłem. Chodziłem z jedną dziewczyną. Jak to się mówi — dziewczyną życia. Ale zaszła. Nie wiem czemu poprowadziłem ją do lekarza. Po zabiegu dałem jej parę patyków i kupiłem jakiś ciuch w Modzie Polskiej. Nie pamiętam jaki. Wiem tylko, że drogi. Gdyby nie mój głupi strach, miałbym już troje dzieci. A tak — zostały u lekarzy. Zawsze się można przechytrzyć. Jeden to na początku sezonu przyszedł do klubu, potrenował parę tygodni i zgłosił się po niego prokurator — sięgnął go za sprzedawanie meczów. Też się przechytrzył.

Znów mi ucieka. Nic, szczawiku. Idę mu korkami po udzie i padającego jeszcze taranuję po łydkach. Krew. Sędzia pokazuje mi czerwoną kartkę. Koniec. Wschodzącą gwiazdę, świeżego kadrowicza znoszą z boiska. To nie są moje normalne trzydzieści cztery lata. To są moje trzydzieści cztery lata świetlne. Byłem plaster. Może ostatni raz w życiu. Wschodząca gwiazda odjeżdża karetką pogotowia. Może i on ma życie z głowy. Jak ja. Byłem ostrym plastrem. Może ostatni raz.

Plener w Serpelicach

W SERPELICACH nad Bugiem odbył się plener zorganizowany przez ASP w Warszawie i WDK w Białej Podlaskiej.

Plener „Serpelice — lato 83" był kontynuacją wspólnych inicjatyw twórczych wspomnianych instytucji w latach 1976—1981; wzięło w nim udział 25 studentów ASP oraz 15 plastyków zatrudnionych w resorcie oświaty i kultury województwa bialskopodlaskiego. Organizatorzy pleneru postawili sobie za cel integrację młodego środowiska plastyków, wymianę doświadczeń artystycznych oraz chęć zaprezentowania własnych osiągnięć twórczych na temat: „Ludzie, pejzaż i bogaty folklor Podlasia oraz jego dzień dzisiejszy". W czasie tych czternastu przeważnie słonecznych dni uczestnicy pleneru zwiedzali i poznawali Podlasie, dyskutowali, odpoczywali i przede wszystkim malowali przepiękne okolice Serpelic. Plonem pleneru będą zorganizowane w IV kwartale br. dwie wystawy malarskie oraz fotogramów powstałych w czasie trwania pleneru. Na plenerze był też fotoreporter „Kameny"

Waldemar Stępień

W LABIRYNTACH WSZECHŚWIATA 3.

Witold Wawrzonek

ZDARZAŁO się kiedyś, a obecnie zdarza się częściej niż dawniej, że trzeba rezygnować z jednolitego poglądu na świat. Wynika to z drogi, którą kroczy nauka.

Większość innych sposobów objaśniania świata — religijny, magiczny czy mityczny — obejmuje zazwyczaj wszystko, dotyczy każdej dziedziny, odpowiada na wszelkie możliwe pytania, rozlicza się z inicjacji, teraźniejszości i końca Wszechświata. Nauka natomiast działa poprzez szczegółowe eksperymentowanie z naturą, przez co wydaje się być mniej ambitna.

Nie dążąc do definitywnego i kompletnego wyjaśnienia całego Wszechświata — jego początku i jego formy obecnej — nauka poszukuje raczej częściowych i tymczasowych odpowiedzi na takie zjawiska, które mogą być wyodrębnione i dobrze zdefiniowane. To zastąpienie pytań ogólnych pytaniami szczegółowymi dało zaskakujący rezultat: okazało się bowiem, że gdy zadawanie pytań ogólnych prowadziło do otrzymywania ograniczonych odpowiedzi, to zadawanie wyodrębnionych pytań prowadzi do otrzymywania odpowiedzi ogólnych.

Równocześnie metoda naukowa nie może uniknąć „kawałkowania" poglądu na świat: każda gałąź wiedzy bada „własną", wyodrębnioną dziedzinę, która niekoniecznie wiąże się z innymi dziedzinami. Dlatego też wiedza naukowa wygląda jak archipelag wysp...

Łączenie takich „wysp" polega głównie na uświadomieniu sobie, że np. dwie dawniej izolowane dziedziny mogą być rozpatrzone z nowego punktu widzenia, albo, że dwutorowe dotąd obserwacje mogą stanowić dwa różne oblicza tego samego zjawiska. W taki właśnie sposób połączyły się w jedno, poprzez teorię Maxwella o polu magnetycznym, optyka i elektromagnetyzm, a poprzez mechanikę kwantową — chemia i fizyka atomowa. Podobnie różne kombinacje tych samych atomów, podlegających identycznym prawom, zostały przez biochemików ukazane jako komponenty zarówno nieożywionych, jak i żywych światów.

Kiedy w 1781 roku odkryto Uran i rozpoczęto bardziej dokładne obserwacje tej planety, stwierdzono, że w jej ruchu dają się zauważyć odchylenia od tak zwanej „orbity Keplerowskiej". Część z nich można było wytłumaczyć zaburzeniami grawitacyjnymi pochodzącymi od Jowisza i Saturna — pozostawał jednak „błąd" wynoszący w 1820 roku około 1/100 stopnia. Sugerowano możliwość wywoływania takich zaburzeń przez jakąś nieznaną jeszcze planetę, co oczywiście było bardzo pomysłowe, ale w owym czasie niezwykle trudne do udowodnienia.

O wyznaczenie położenia tej hipotetycznej planety pokusili się, niezależnie od siebie, dwaj utalentowani matematycy: Anglik Adams i Francuz Laverrier. Ich praca — mimo użycia metody rachunku różniczkowego — była trudna i żmudna: masę nieznanej planety, jej odległość i ruchy można było ustalić jedynie w oparciu o dające się uchwycić zaburzenia w biegu Uranu.

Już po dwóch latach pracy Adams napisał do Astronoma Królewskiego list, w którym — z dokładnością do 2° — podał kierunek, w jakim powinna znajdować się hipotetyczna planeta. Dostojny astronom zignorował jednak tę informację: nie przypuszczał bowiem, by jakieś odległe ciało niebieskie można było odkryć bez posługiwania się teleskopem, dosłownie zza biurka. Wkrótce jednak w tej samej sprawie napisał pod wiadomy adres i Laverrier, który wyliczył położenie niezidentyfikowanej planety dokładnie zgadzające się z ustaleniami Adamsa! Rzecz wyglądała na poważną, więc Astronom Królewski zorganizował staranne poszukiwania... I rzeczywiście, w miejscu wskazanym przez obydwu matematyków ową nieznaną planetę, którą potem nazwano Neptunem, „odkrył" niemiecki astronom Johann Gottfried Galle.

Gdy w gwiazdozbiorze Łabędzia zauważono gwiazdę HDE-226868 i stwierdzono astabilności jej położenia, od razu wywnioskowano, że owe ciało niebieskie musi obiegać jakiś obiekt o masie równej w przybliżeniu 12-krotnej masie Słońca. Obliczenia masy niezidentyfikowanego towarzysza gwiazdy HDE-226868 dokonano, oczywiście, w oparciu o skutki jego grawitacyjnego oddziaływania na widoczną gwiazdę. Poza oddziaływaniem grawitacyjnym i strumieniem gorącego gazu wypływającego z widocznej gwiazdy — przypuszczalnie do niewidzialnego jej partnera — w żaden inny sposób nie można było stwierdzić jego fizycznej obecności. Nie można go było dostrzec przez najlepszy nawet teleskop, nie „świecił" on również radiowo...

Jak pamiętamy, pewne rodzaje gwiazd o masie większej od masy Słońca mogą kończyć swe „życie" katastroficzną zapaścią, która nie „wydaje" ani Białego Karła, ani choćby gwiazdy neutronowej. Kurczenie się takiej gwiazdy może również — jak się przewiduje — trwać nieskończenie długo. Zmiażdżona w wyniku takiego katastroficznego kolapsu materia posiada, sądzi się, właściwości zaiste niezwykłe. Wytwarza bowiem pole grawitacyjne tak silne, że każda cząstka materialna i każdy foton, które tylko do takiego obiektu zbliżą się na pewną krytyczną odległość, zostają przyciągnięte, a następnie wchłonięte — i raz na zawsze znikają z dostrzegalnego Wszechświata.

Ogromna ilość materii skupiona w małym obszarze wytwarza tak silną grawitację, że obiektu takiego nie może opuścić nic, cokolwiek tam się raz dostało — nawet światło! Na istnienie takich osobliwych tworów przyrody wskazują tylko dwie rzeczy: skutki ich niezwykle silnego oddziaływania grawitacyjnego i ruchu rotacyjnego. Poza tym wszystkie właściwości przestrzeni, w której znajduje się taki obiekt, są — według utalentowanego astrofizyka Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego — „zupełnie określone przez prawa Einsteina dla struktury pustej przestrzeni". Gdyby więc taki twór znalazł się nawet bardzo blisko nas, to nie moglibyśmy o tym wiedzieć, gdyż takiego obiektu nie może opuścić nic, ani promieniowanie elektromagnetyczne, ani najmniejsza choćby cząstka materialna — kompletnie nic, żadna informacja!

Obszar, gdzie znajduje się coś takiego, zwiemy przeto „czarną dziurą". Przypuszcza się, że to właśnie taki niezwykły twór obiega gwiazdę HDE-226868, a jego niezwykle silne pole grawitacyjne powoduje obserwowane perturbacje położenia widocznej gwiazdy.

Ze względu na takie właściwości wewnątrz każdej „czarnej dziury" tkwi osobliwość: z zasadniczych przyczyn niepoznawalny obszar, w którym gęstość materii i grawitacja są bliskie nieskończoności. Cokolwiek więc znajdowałoby się we wnętrzu „czarnej dziury", nie ma to na nas żadnego wpływu, bo żadna materia, promieniowanie ani informacja nie może się stamtąd wydostać na zewnątrz. Innymi słowy: osobliwości znajdujące się w „czarnych dziurach" — nie istnieją w naszym Wszechświecie.

Z powodów oczywistych nikt w tej chwili nie wie na pewno, czy nagie osobliwości istnieją i czy w ogóle mogą istnieć. Jeżeli jednak w jakiś sposób naga osobliwość ukaże się kiedyś naszym oczom, może to oznaczać przewrót w podstawach fizyki. Pojawiłby się bowiem wówczas nowy rodzaj niepewności w fizyce — niepewność co do tego, co wyłoni się z osobliwości.

Jeśli nagie osobliwości istnieją, oznacza to poważny problem w analizie zachowania się przyrody; nie znamy bowiem żadnych praw, które rządzą osobliwościami, ani też nie rozumiemy ewentualnych zasad zachowania się nagich osobliwości. Dokąd jednak każda osobliwość znajduje się wewnątrz „czarnych dziur" Wszechświat jest taki, jakim go opisują prawa Newtona i Einsteina...

Zaiste nadzwyczajna i wyjątkowa jest ta właściwość naszej psychiki, która każe nam trwać niezmiennie w uporczywym dążeniu do odkrycia istnienia w Kosmosie obcej inteligencji. Dawniej przyjmowaliśmy niemal bez zastrzeżeń możliwość istnienia Obcych. Teraz jesteśmy pierwszym pokoleniem ludzkości, które podjęło techniczne próby nawiązania kontaktu z Istotami Rozumnymi zamieszkującymi inne niż Ziemia światy Czy nawiążemy kontakt, czy z szumu odległych galaktyk wyselekcjonujemy kiedykolwiek jakąś racjonalną myśl?

Sądzę, że byłoby bardzo dziwne, gdyby w przedziale czasu kilku miliardów lat w pobliżu któregoś ze stu miliardów Słońc Naszej Galaktyki nie wystartowało jakieś rozumne życie. Jeśli przeto przyjmiemy, że prawdopodobieństwo powstania inteligentnych form życia w Naszej Galaktyce w czasie 10^8 lat nie jest pomijalnie małe i że nieznane Istoty Rozumne osiągnęły poziom czyniący je zdolnymi do odbywania podróży międzygwiazdowych to wówczas powstaje pytanie: dlaczego istoty pozaziemskie nie nawiązały jeszcze z nami kontaktu? Z bezliku różnych możliwych do pomyślenia tłumaczeń tego fenomenu, bardziej szczegółowo zastanowimy się nad tą alternatywą, która — moim skromnym zdaniem — posiadałaby największe prawdopodobieństwo zaistnienia w odniesieniu do aktualnego stanu rzeczy...

Otóż najprostszym wytłumaczeniem byłoby oczywiście uznanie któregoś z powyższych założeń za fałszywe. Zastanawiając się wszakże jeszcze nad innymi alternatywnymi odpowiedziami na wyżej postawione pytanie myślę, że trzeba chyba byłoby poczynić założenie, iż postępowanie Obcych oparte być może przede wszystkim na przesłankach rozumowych, typowych dla społeczeństwa postindustrialnego. W takim wypadku należałoby przyjąć, że dobrem dla nich najwyższym powinna być wiedza — w jak najszerszym rozumieniu tego słowa — gdyż jest to jedyny „produkt", którego zasoby stale rosną w czasie.

Pełny kontakt z wysoko rozwiniętą cywilizacją, w którego trakcie jakiś procent z zasobów jej wiedzy stałby się również i nam dostępny, mógłby spowodować silny szok, odnoszący się, jak można przypuszczać, nie tylko do np. diametralnej zmiany naszego stosunku do otaczającego świata...[9] Ewentualne korzyści, jakie spodziewalibyśmy się odnieść z takiego kontaktu, mogłyby okazać się wielce problematyczne, a nawet powstrzymać dalszy rozwój ludzkiej cywilizacji wskutek możliwego zaistnienia tak zwanego „wstrząsu kulturowo-gospodarczo-technicznego"...[10]

Niewykluczone, że inteligentni psychozoicy formuły „X" — przewidując ewentualne skutki takiej „pomocy" — zastosowali inną możliwość: ograniczony kontakt z „dojrzewającą cywilizacją" bez przekazywania zasobu swej wiedzy. Wybór tej metody mógł być podyktowany np pragnieniem ustabilizowania ludzkiej cywilizacji w celu uchronienia jej przed samounicestwieniem, albo zamiarem ukierunkowania naszego rozwoju poprzez cykliczne przekazywanie wyselekcjonowanych informacji, co w naszym codziennym życiu nie musi zaznaczać się niczym innym poza artykułami o UFO.[11]

(cdn.)

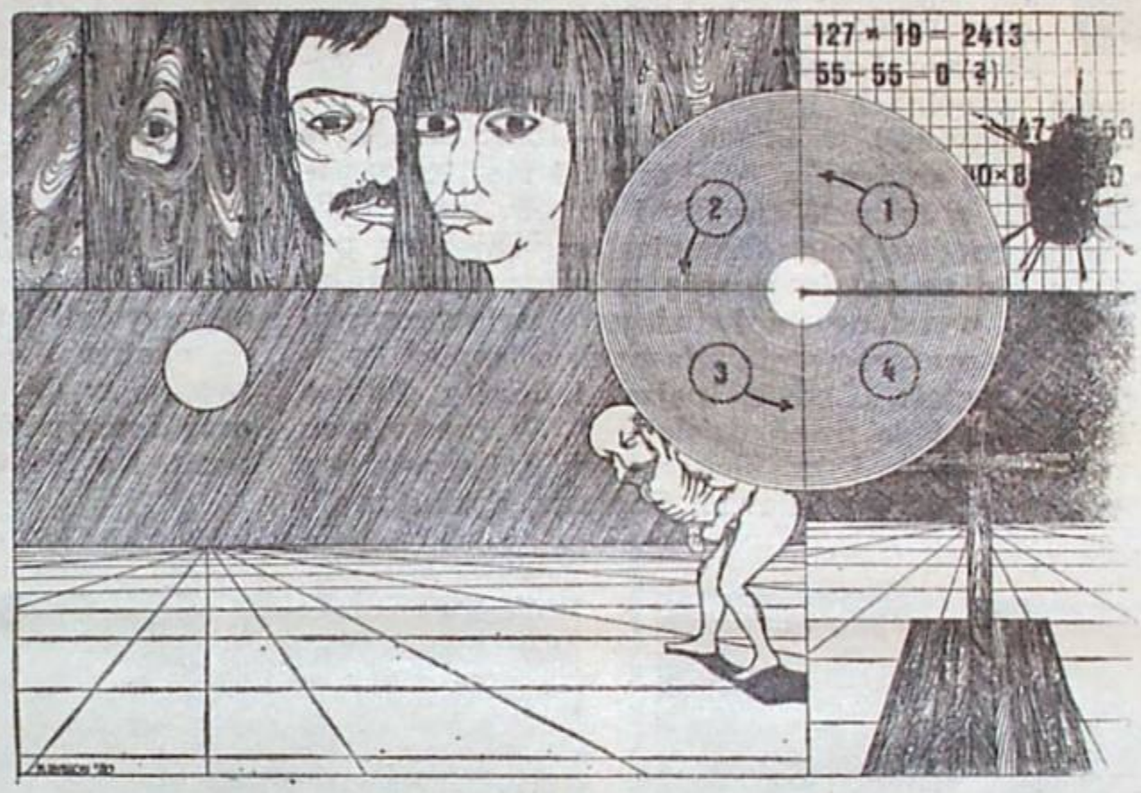

Rys. Mariusz Rybicki

9) Załóżmy, że Przybysze zdołaliby nam dowieść, że np. Chrystus i Mahomet byli nie tymi, za których ich dotąd braliśmy, lecz ucharakteryzowanymi — przy użyciu odpowiednich technik medycznych i genetycznych, na obraz i podobieństwo człowieka — obcymi Istotami Rozumnymi przybyłymi tu z misją „zaszczepienia" i „posiewu" określonych norm i zasad obyczajowych, etycznych i moralnych. Miało to na celu spowodowanie najbardziej pożądanego w istniejącej sytuacji kierunku „startu" dojrzewającej cywilizacji i zarazem przygotowanie jej do mającej wkrótce nastąpić fazy ewolucji, kiedy to będziemy dysponować środkami technicznymi zdolnymi unicestwić wszelkie życie w skali planetarnej. Chciałbym nie mieć racji, ale wydaje mi się, że takie udowodnione informacje wywołałyby — i to w skali planetarnej — niezwykle gwałtowne, a niemożliwe do przewidzenia skutki...

10) Przypuśćmy, że Obcy mogliby nas nauczyć, jak żyć bez wojen i bez chorób... W tym stanie rzeczy trzeba byłoby zwolnić dziesiątki milionów ludzi służących w wojsku i mniej więcej tyle samo, które pracują dla jego potrzeb i dla przemysłu zbrojeniowego. Ludziom tym trzeba byłoby oczywiście zapewnić jakieś utrzymanie... Tylko niewielki procent sprzętu wojskowego można by, bez większych przeróbek, użyć dla potrzeb cywilnych. Resztę — należałoby zniszczyć, bądź kompletnie zunifikować. Z kolei likwidowanie chorób bez potrzeby ich leczenia musiałoby nieuchronnie spowodować likwidację całego przepotężnego przemysłu farmaceutycznego, w którym — w skali planetarnej — zatrudnionych jest kilkadziesiąt milionów ludzi. Oznaczałoby to również odebranie zajęcia lekarzom, pielęgniarkom i innym ludziom. Sytuacja taka spowodowałaby więc kompletny chaos gospodarczy o globalnym zasięgu, a skutki takiej ingerencji na pewno nie byłyby błogosławieństwem — a przekleństwem...

11) Używając w odniesieniu do tej konkretnej sytuacji skrótu „UFO" miałem na myśli tylko tego typu istniejące zdarzenia, które swoim zaistnieniem wnosiły niezbędną ilość konkretnych informacji wskazujących jednoznacznie i niewątpliwie na to, że obserwator miał do czynienia ze sztucznie sporządzonym i rozumnie sterowanym aparatem latającym, którego wygląd, sposób manewrowania lub inne cechy wykluczały, by mógł on być zrealizowany przy użyciu ludzkiej techniki.

PISZ NA BERMUDY!

W nr. 9 „Kameny" z bieżącego roku opublikowałem wywiad z Andrzejem Romanem Piaseckim, jak się przedstawił — Generalnym Koordynatorem I Polskiej Wyprawy Paranaukowej w Rejon Trójkąta Bermudzkiego. Obecnie, zakłopotany jako to naiwne dziecię, raz jeszcze powracam do postaci mojego rozmówcy i spraw, które zechciał poruszyć w owym historycznym, śmiem podejrzewać, wywiadzie. Powracam nie korzystając już jednak — z konieczności! — z informacyjnego wsparcia ob. Piaseckiego.

JSTNIEJE obszar Zachodniego Atlantyku położony w pobliżu południowo-wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, który tworzy konfigurację zwaną „Trójkątem Bermudzkim". W czasie ostatnich 35 lat zaginęło tam bez śladu przeszło 120 różnorodnych jednostek pływających i latających, nie pozostawiając po sobie nic — ani jednego ciała, ani nawet jakiegokolwiek szczątku zaginionych obiektów! Dla wyjaśnienia tego zjawiska wysuwano najprzeróżniejsze, najczęściej pełne fantazji hipotezy. Tworzyła się mitologia zacierając — jak to zwykle w takich przypadkach bywa — prawdziwy obraz tego, co rzeczywiście dzieje się na owym niesamowitym akwenie.

Dla jednych zagadka tego miejsca łączy się z osobistą tragedią związaną z utratą bliskich sobie osób, innych tylko ekscytuje, a jeszcze innym daje podstawę do wypowiadania zbękarconych, pseudonaukowych spekulacji i hipotez. Ale nie tylko...

Dobiegało końca upalne lato 1982 roku... Odpłynęła już Paskuda — niezidentyfikowany, o nader ekscentrycznym wyglądzie i kanciastym charakterze stwór, który bulwersował ludzi w sezonie ogórkowym, wynurzając się od czasu do czasu z Zalewu Zegrzyńskiego i okolicznych słodkich wód. Zdawało się, że już nic specjalnie ekscytującego nie będzie niepokoić rodaków, aż tu raptem okazało się, iż w rejon osławionego Trójkąta Bermudzkiego ma niebawem wyruszyć wyprawa badawcza: Pierwsza Polska Prywatna Paranaukowa Wyprawa Bermudzka!

Zdumiewającą, osobliwą i unikalną była ogłoszona metoda, przy której pomocy Paranaukowa Ekspedycja Bermudzka miała rozpracowywać pokrętną zagadkę Diabelskiego Trójkąta. Oto bowiem kluczem do ujawnienia cichociemnych mocy tego rejonu stać się miały nader tajemnicze, nie do końca wyjaśnione cechy badaczy — specjalistów od telekinezji, bioenergetyki, precognicji oraz innych paranauk!

Tak zwane Biuro Informacyjne Wyprawy, którym sterował Generalny Koordynator, zakomunikowało niebawem o „wysłaniu swoich pierwszych trzech ludzi jeszcze przed końcem 1982 roku". Następnie, wybiegając myślą daleko naprzód, członkowie Biura zapowiedzieli że planują między innymi: „wybudowanie szpitala-laboratorium, pomnika ofiar Trójkąta i bazy dla kolejnych ekspedycji". Generalny Koordynator zapowiedział ponadto, że wypuści - w dniu wyjazdu Ekspedycji - pamiątkowe medale z imienną kartą potwierdzenia, i futerałem. Aby stać się szczęśliwym posiadaczem kompletu owych medali, należało bezzwłocznie dokonać tysiączłotych przedpłat pod adresem Biura Informacyjnego Programu Badawczego „The Monument in Bermuda Triangle".

Coraz to mocniej nagrzewały się silniki, które miały przenieść na Karaiby Prywatną Paranaukową Wyprawę Bermudzką, aż tu raptem nieoczekiwanego a gwałtownego wstrząsu doznała dotychczasowa ostentacyjna konsolidacja Biura Informacyjnego „The Monument in Bermuda Triangle". Fatalny przypadek zrządził bowiem, że między Szefem, czyli Generalnym Koordynatorem, a jednym z jego bliskich współpracowników, czyli Członkiem Biura Informacyjnego, zaistniał jakiś „czarujący epizodzik"... Współpracownik ów katapultował się zaraz gwałtownie z Biura, a potem zaczął opowiadać rzeczy, od których Generalnemu Koordynatorowi niedobrze się robiło. A była to — podobno — szczera prawda, choć żadna pochwała...

W tym brzemiennym w wypadki okresie zgłosił się do Szefa (siedzącej ciągle w miejscu Wyprawy) młody, energiczny mężczyzna. Miał dobry amerykański samochód, pieniądze i dużo wolnego czasu...

Niedługo po tym zielonkawy fordgranada z przyklejoną na szybie kartką: „I Polska Ekspedycja Badawcza w Trójkąt Bermudzki" i Generalnym Koordynatorem w środku pojawia się w krótkich odstępach czasu w Gdańsku i Szczecinie, Białymstoku, Lublinie i Krakowie. Prawdziwy cel tych lądowych wypraw nie jest zbyt przejrzysty. Niewykluczone więc, że przed zasadniczym skokiem na Trójkąt, program badawczy Ekspedycji przewidywał realizację zapisu: „poznaj swój kraj rodzinny".

Płynął czas chwalby i aplauzów, płynęły też tysiączłotowe przedpłaty na medale upamiętniające rangę wyjazdu zagranicznego I Prywatnej Wyprawy Badawczej...

Biuro Informacyjne ogłosiło jeden termin wyjazdu Ekspedycji, później drugi, ale potem okazało się, że nie było to niczym innym, jak tylko sprzeniewierzeniem się własnym słowom. Coraz więcej informacji — rozbieżnych lub mylnych — skłaniało zresztą do coraz to bardziej ostrożnego traktowania wszystkich ogłaszanych przez Generalnego Koordynatora „wiadomości". Pojawiły się poszlaki, które wskazywały, że za przygotowaniami I Prywatnej Paranaukowej Ekspedycji Bermudzkiej kryją się jakieś ciemne, nie badane przez nikogo kulisy...

Porucznik Krzysztof D. z KW MO w Lublinie od jakiegoś czasu z rosnącym zainteresowaniem przypatrywał się poczynaniom Paranaukowej... Wreszcie doszedł do przekonania, że jest to przypadek na tyle mętny i rzadki, że zasługuje, by obejrzeć go z bliska i gołym okiem. Wybrał się więc do Warszawy — a była to całkiem prywatna wyprawa porucznika — i tamże przyjrzał się, jak wygląda w szczegółach działalność Generalnego Koordynatora i jego Biura Informacyjnego.

„Albo czynności przygotowawcze do wyekspediowania Wyprawy są tak ściśle utajone, że normalnymi sposobami nie można stwierdzić ich istnienia — zapisał po powrocie do Lublina w swoim notesie — albo też to wszystko ma charakter działań pozorowanych i symulowanych".

Wielce dochodowa, radosna i paranaukowa działalność Generalnego Koordynatora I Polskiej Prywatnej Paranaukowej Wyprawy na Trójkąt Bermudzki dobiegła końca w rozczarowaniu, niepowodzeniu i rozpaczy — niedługo po tym, kiedy z telewizyjnej anteny zszedł program „Jedziemy na Bermudy?" — jemu to właśnie „poświęcony i dedykowany". Wyprawa Bermudzka jeszcze przed zwieńczeniem poroniła, ale Generalny Koordynator inteligentnie wykierował tak, by a conto tego oryginalnego, a jeszcze nie poczętego dziecięcia, zgromadzić odpowiednie środki — niemałe wcale, a finansowe głównie. Ot choćby te tysiączłotowe przedpłaty, których sporo nadeszło do Biura Informacyjnego, czyli pod adresem domowym Generalnego Koordynatora. Jeśli ktoś z wpłacających otrzymał już, być może, takie medale, to powinno coś być o tym słychać. W każdym razie żadna ze znanych mi osób, które dokonały tego rodzaju przedpłat, nie dostąpiła dotąd takiego wyróżnienia.

By wyjaśnić te i inne jeszcze pokrętne zagadki, które czyniły Wyprawę Bermudzką nie mniej zagadkową od tajemniczego Trójkąta Bermudzkiego, pojechałem do Rembertowa, gdzie Szef ma swoje Biuro Informacyjne. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, a wszyscy sąsiedzi, których o to pytałem, twierdzili zgodnie, że Generalny Koordynator wybył z mieszkania będącego jednocześnie Biurem Informacyjnym, jakieś trzy tygodnie temu i odtąd go nikt nie widział.

Sprawdziłem jeszcze jeden adres — i też nic.

Wszystkie starania, które miały mnie doprowadzić do bliskiego spotkania z Szefem, zakończyły się całkowitym fiaskiem. 6 lipca br. przebywał rzekomo w miejscowości Marki, ale nie uzyskałem tam audiencji, bo poszukiwany „był niedysponowany"...

Mając już bardzo mało wiary, a jeszcze mniej nadziei, udałem się na końcu do Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. Tam właśnie, od rzecznika prasowego, dowiedziałem się m.in., że Generalny Koordynator I Prywatnej Paranaukowej Wyprawy na Trójkąt Bermudzki nie prowadzi już żadnej „działalności"...

Po prostu — zniknął bez śladu!

Czyżby Trójkąt Bermudzki pochłonął kolejną ofiarę?

Witold Wawrzonek

Klaus Schulze nad Wisłą

OGROMNE zainteresowanie przestrzenią kosmiczną i sprawami domniemanego życia biologicznego na odległych planetach sprawiło, że tematykę kosmiczno-galaktyczną podjęli w swoich dziełach mistrzowie pióra, kamery filmowej i klawiatury, oczywiście tej elektronicznej. Ogromna liczba książek, filmów oraz płyt poświęconych tematyce „pozaziemskiej" pozwala na określenie zjawiska swego rodzaju modą. Dodajmy, modą trwającą już wiele lat (szczególnie w muzyce) i przynoszącą twórcom niemałe zyski.

Przeciętny odbiorca kojarzy elektronicznie przetworzone dźwięki z futurystyką i muzyczną awangardą. Tymczasem termin „muzyka elektroniczna" użyty został po raz pierwszy 22 lata temu, kiedy to zachodnioniemiecki akustyk, dr Werner Meyer-Eppler, zademonstrował pierwsze próby kompozycji na syntezatory. Wzbudziły one spore zainteresowanie wśród twórców i teoretyków muzyki. Meyer-Eppler otwiera długą listę naśladowców: Eimert, Beyer, Hambraues, Stockhausen, Koenig i inni przysłużyli się popularyzacji tej wielce interesującej muzyki. Jak grzyby po deszczu powstawały więc wspaniale wyposażone w cuda techniki eksperymentalne studia nagraniowe. Takie studio powstało również w Warszawie.

Start okazał się trudny i skromny zarazem. Zespoły z kręgu rocka stopniowo wzbogacały swoje instrumentarium o elementy elektroniki. Jeden lub drugi syntezator, „doczepiony" trochę na siłę do naturalnego gitarowego brzmienia, robił grupie nowoczesną, zgodną z nakazem mody, barwę. Wkrótce powstały jednak formacje, które swą stylistkę oparły wyłącznie o elektroniczną „maszynerię". Tangerine Dream i Ash Ra Tempel (obie wywodzące się z RFN) starały się tworzyć muzyczne nastroje, przenosić słuchacza w tajemniczy, „kosmiczny" wymiar. Albumy „Alpha Centuari" czy „Zeit" czarowały klimatem, ale nudziły monotonią.

Po początkowej euforii nowym, jakże oryginalnym brzmieniem, muzyka z komputera poddana została więc ostrej krytyce. Zarzucano jej skromne, a na dodatek nie do końca wykorzystane możliwości instrumentalne, anonimowość brzmienia i mimo wszystko nazbyt ubogie umiejętności samych muzyków. Dopiero zachodnioniemiecka grupa Kraftwerk, a z nią pleiada solistów-wirtuozów, takich jak: Edgar Froese, Klaus Schulze, Jean-Michael Jarre, Larry Fast, Isao Tomita i Vangelis Papatanasiou, spowodowała, że muzyka „kosmiczna" zaczęła naprawdę fascynować szerokie kręgi słuchaczy. Kompozycje stawały się coraz ciekawsze. Bogatsza rytmika, głębsze brzmienia, urozmaicona kolorystyka, a co chyba najważniejsze intrygujące rozwiązania aranżacyjne i polifonia dźwięków. Wszystko to razem sprawiło, że „muzyka XX wieku" (jak określają ją niektórzy krytycy) trafiła do największych sal koncertowych, a nawet wysoko plasowała się na listach płytowych bestsellerów (czytaj: najlepiej sprzedawanych).

Ostatnie lata nie obfitowały jednak w doniosłe dzieła entuzjastów syntezatorowych „szumów białych". Wprawdzie zdolna elita trzyma fason, ale nowy nabytek to kiepscy naśladowcy dawnych, wyeksploatowanych pomysłów i zagrań. Trzeba być doprawdy artystą dużego formatu i mieć wyjątkowo wrażliwe ręce, aby nadać elektronicznemu brzmieniu postać atrakcyjną dla ucha. Instrumenty używane w tym gatunku same w sobie stanowią mocno ograniczone tworzywo. Muzycy chcieliby powiedzieć dużo, ale nieskończony zakres kombinacji technicznych syntezatora utrudnia efektowne posługiwanie się nim.

Koncerny płytowe, nastawione przede wszystkim na zysk, nie bardzo wiedzą, co począć — grać dyskotekę, czy też pozwolić wykonawcom błądzić w poszukiwaniu nowych rozwiązań brzmieniowych. Natomiast efektem tego dylematu jest coraz głębszy impas „muzyki syntetycznej".

Namacalny przykład mieliśmy niedawno podczas wizyty w naszym kraju elektronicznego rockmana, 36-letniego Klausa Schulze. Muzyk-legenda, autor 15 długogrających krążków, rozczarował spragnioną wielkich przeżyć publiczność. Przynajmniej tę zgromadzoną w warszawskiej hali Torwaru. Scena wyglądała nawet imponująco. Potężna bateria najróżniejszych elektronicznych cacek i pokaźnych rozmiarów ekran, na którym miały fascynować cuda video-techniki, sugerowały nie lada atrakcje. Sala zapełniła się dużo wcześniej przed godziną dwudziestą. Publiczność inna niż zwykle, „poważniejsza" od tej z koncertów UFO, U.K.Subs czy Classix Nouveaux. Niestety, hala sportowa nie była dobrze przygotowana do odbioru tego rodzaju muzyki. Światło dnia wdzierało się na scenę, zaś pootwierane na oścież bramy nie sprzyjały koncentracji słuchaczy. A mimo to w powietrzu wisiał nastrój niespodzianki, oczekiwania na coś wielkiego, niespotykanego.

Mistrz ceremonii prezentuje się doskonale. Ubrany na biało, rozpromieniony uśmiechem, rozdający publiczności całusy i brzmiące po polsku słowa powitania. Od początku daje się lubić. To już dużo. Pierwszy utwór trwa równo 30 minut. „Klasyczna" kompozycja elektroniczna bez wzlotów i upadków. Widownia traktuje ją jako preludium do prawdziwej uczty duchowej. Tu i owdzie słychać śmiechy, rozmowy.

Kolejna suita poprzedzona zostaje zapowiedzią, że muzyk czuje się w stolicy doskonale, więc może grać choćby do północy. Rozlega się huragan braw. Kalkulacja młodzieży wyjątkowo prosta — za 400 złotych cztery godziny muzyki. Obliczona na atrakcję suita cokolwiek się dłuży. W dodatku muzyka dociera na widownię zbyt cicho. Denerwuje brak zmian tempa i ciekawszych rozwiązań kolorystycznych. Zagrany na wstępie temat powtarzany jest w nieskończoność, co prowokuje bardziej krewkich fanów do gwizdów. Mistrz o dziwo nie reaguje. Muzyka staje się mało strawna. Podobnie zresztą, jak przereklamowane efekty video. Zamiast szokujących kolorami fantazji, na ekranie wyświetlane są mało ciekawe kompozycje pozostające w opozycji do preparowanych z syntezatorów dźwięków, a miało być chyba odwrotnie. Wyraźnie denerwuje motyw kobiecej twarzy, śmieszy oglądany po raz enty efekt wylewanej z kadzi stali (niczym z polskiej kroniki filmowej lat siedemdziesiątych). Wszystko to w bladych, nader smutnych kolorach.

Oficjalny koncert kończy się po 90 minutach błądzenia w mało komunikatywnych przestrzeniach dźwiękowych. Publiczność jednak nie podnosi się z niezbyt wygodnych miejsc. Oczekuje wyraźnie rehabilitacji osławionego wirtuoza. Wszak chwalił się dziś znakomitą formą, niechże wreszcie coś pokaże! Syntezator podaje jednak tylko pulsujące szumy. Na moment odzywa się agresywniejszy akord, jakaś mocniejsza fraza sugerująca efektowny ciąg dalszy, by po chwili zgasnąć. Nic dziwnego, że spragniona publiczność przyjmuje Schulza chłodno. Na nic zdają się jego zapewnienia o sympatii dla warszawskich słuchaczy, tiedy brakuje poruszającej zmysły i umysły muzyki. Słowami jej nie zastąpi. Kilka nieudanych prób „rozniecenia ognia" i hala pustoszeje szybko. I choć elektronika kojarzy się bezwiednie z prądem elektrycznym, Klaus Schulze nas nim nie poraził. Znawcy przedmiotu twierdzą, iż żywe spotkanie z wykonawcą tej klasy dystansuje jego najlepszą płytę. W przypadku wirtuoza syntezatorowych klawiatur mamy nieco odmienne zdanie. Widać w studiu obowiązuje go większa dyscyplina niż na scenie i tam gra ciekawiej. Zresztą wydaje się to zrozumiałe.

Istvan Grabowski
Artur Borkowski

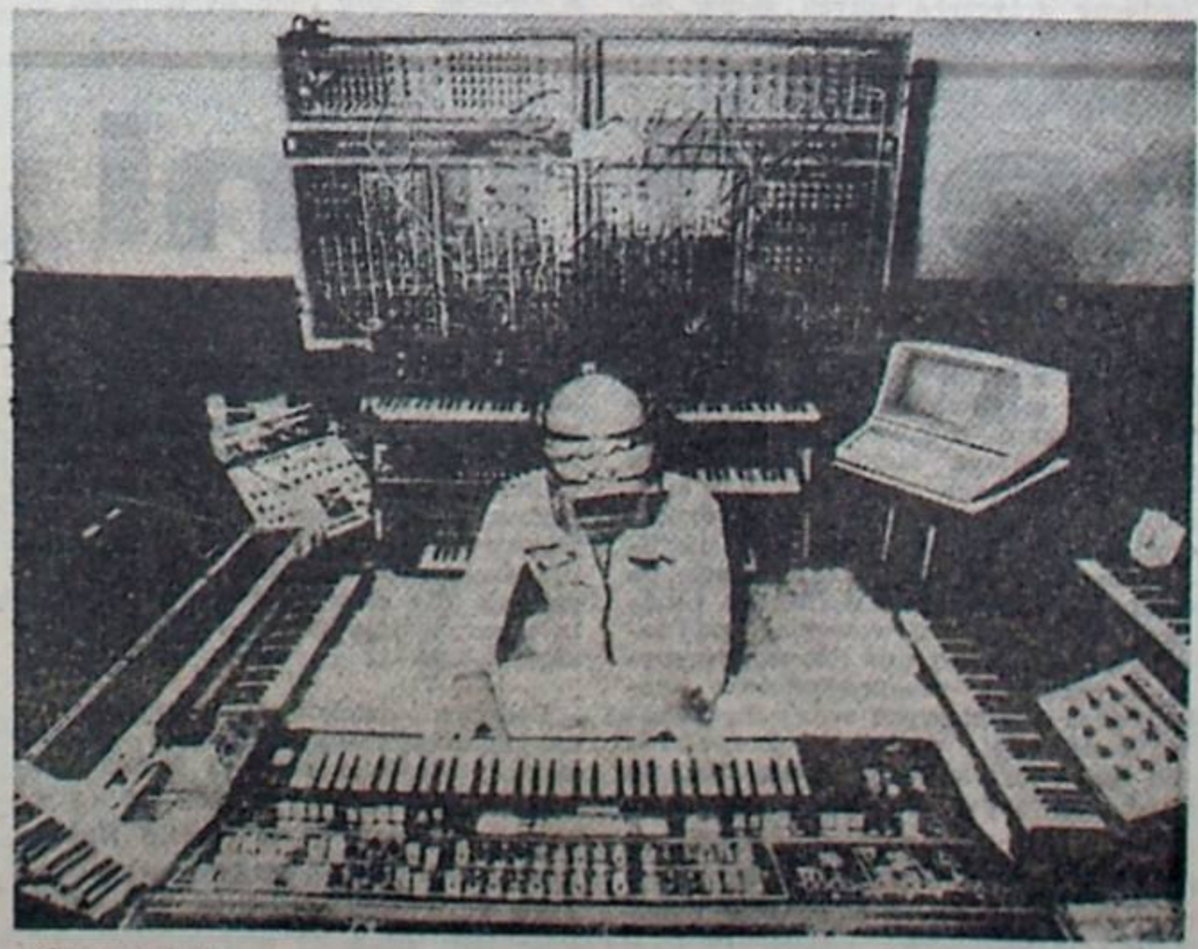

Klaus Schulze — Foto: Jerzy Mirski

BRUCE LEE: prawda i legenda

— 6 —

Jak najwięcej dolarów jak najwięcej siebie ?

Michał Rey

Tradycją stały się odpowiedzi na listy, telefony i — tym razem kontakty osobiste. Od tych ostatnich zacznijmy. Dwie siostry: Kinga (16 lat) i Izabella (14 lat) Grzybowskie z Rudy Śląskiej, przebywające u babci w Lublinie na czas wakacji, wyrażały zdziwienie, że nie mogły kupić „Kameny" w swoim mieście i prosiły o brakujące im odcinki serialu o Bruce Lee. Załatwione.

Janusz Jakimowicz z Lublina wyraził przez telefon swoje oburzenie w związku z decyzją GKKFiS blokującą niekontrolowany (a w związku z tym często niebezpieczny dla zdrowia) rozwój wschodnich stylów walki w Polsce. Chciałoby się rzec: NARESZCIE! Pisząc o sztukach walki na łamach naszego pisma oczywiście propagujemy je, jako godne uwagi i bliższego poznania. Nie można się jednak zgodzić na uprawianie ich i „szkolenie" w warunkach pirackich przez ludzi bez odpowiednio sprawdzonych umiejętności. Nie należy się zatem dopatrywać w decyzji władz sportowych jakichś restrykcji, czy wrogich zamiarów wobec azjatyckich stylów walki, a jedynie dążenia do uporządkowania spraw formalnych i sportowo-szkoleniowych. Oczywiście powinno to nastąpić możliwie jak najszybciej, aby przeciąć domysły, plotki i podejrzenia.

Karol Kuśmierski (Puławy) zarzuca nam, że odcinki serialu są coraz krótsze, a zdjęcia coraz mniejsze lub — jak ostatnio — w ogóle ich nie ma. Niestety łamy gazety nie są z gumy, to po pierwsze. Po drugie, otrzymaliśmy po pierwszych dwóch odcinkach wiele próśb o dokładniejsze „opowiadanie" o „Smoku" i staramy się to czynić. Dla informacji: serial miał liczyć trzy odcinki; rozrósł się tylko Wasze życzenie.

Przypominamy, na koniec, o naszym konkursie pn. „Dlaczego Bruce Lee?" Czekają nagrody (3×1000 i 3×500 zł) oraz nasze łamy dla najciekawszych wypowiedzi.

SUKCES pierwszych filmów „made, in Hongkong" z udziałem Bruce'a Lee przeszedł najśmielsze oczekiwania producentów. Dolarowy licznik nieźle bił na ich korzyść. Czy oprócz niewątpliwej satysfakcji finansowej filmy te dawały zadowolenie naszemu bohaterowi? Chyba — nie. Mimo ciężko wywalczonej, sporej samodzielności realizacyjnej do szczęścia było mu daleko. Po doświadczeniach amerykańskich w Hollywood, gdzie — abstrahując od treści — poziom realizacji i sprawność warsztatowa filmów były wysokie, produkcja azjatycka była rozczarowaniem.

Dla „China Mail" mówił:

— *Producenci filmów chińskich nie są obiektywni. Myślę, że chodzi im przede wszystkim o pieniądze, a nie o poziom artystyczny. I co jest przykre, trudno im to wyperswadować. Ja jestem za uczciwym dzieleniem zasług. Jestem po prostu za dobrym kręceniem filmów.*

Wszystko wskazuje na to, że owe krytyki, dyskusje, nieporozumienia i konflikty miały swój wpływ na życie codzienne rodziny państwa Lee; choć Linda robiła wszystko, aby obraz rodzinny był idealny. Mówiła jednak:

— *Bruce był przyzwyczajony do stylu pracy w USA, do pewnych nawyków amerykańskich, do sprawności, fachowości i kompetencji. Nie zawsze odpowiadało mu to, co zastał w Hongkongu. Wiele razy rozgoryczony skarżył się, że go nie rozumieją. Podczas gdy Raymond Chow cieszył się i był dumny, że film "The Big Boss" został sprzedany do Anglii i Australii, Bruce wyrażał zupełnie odmienne opinie. Uważał, że jeszcze nie ma się z czym pokazywać.*

Filmem, który miał już spełniać kryterium pokazywalności była **„Droga Smoka"** ("The Way of Dragon"). Praca nad nim trwała już prawie pół roku i spełnionych musiało być wiele warunków, jakie Bruce postawił. Pierwszym było ściągnięcie do kręcenia obrazu **Chucka Norrisa**, aktora i znakomitego fightera walk wschodnich. Następne dotyczyły innych spraw, m. in. nie ograniczania czasu zdjęciowego, liczby powtarzania scen walki, filmowania poszczególnych scen, jeśli zajdzie potrzeba po wielokroć, a nie wcześniejsze wielokrotne „markowanie" przed kamerą (bez kręcenia), a filmowanie dopiero po uzyskaniu należycie perfekcyjnego wykonania sceny. Inny był również scenariusz. **Michael Kye**, przekładający filmy Bruce'a Lee na angielski powiedział, że w „Drodze" Bruce Lee przedstawił się jako ktoś zupełnie inny. Umiejętnie łączył swoją dumę z chińskiego pochodzenia z zachodnioeuropejskim szacunkiem i rycerskością wobec nieprzyjaciela. Chuck Norris określił to jeszcze dosadniej: *„Był Chińczykiem bez warkocza"*.

„Droga Smoka" przyniosła jeszcze większy sukces niż „Wściekłe pięści" i „Wielki szef". Film przyniósł nie tylko duże pieniądze wszystkim zaangażowanym w jego realizację, ale także stworzył właściwą formułę bohatera kreowanego przez Bruce'a — młodego Chińczyka wiernego tradycjom swego narodu, lecz także Chińczyka „zachodniego", rozumiejącego złożoności współczesnego zwesternizowanego świata. Taki obraz odpowiadał zarówno milionom rodaków Bruce'a w Hongkongu, ale był także do strawienia przez widza zachodniego. Obraz ten z powodzeniem był rozwijany w kolejnych filmach: „Wejście Smoka" ("The Enter of Dragon") i „Grze Śmierci" ("The Game of Death"), których realizacja toczyła się równocześnie.

Przy okazji warta odnotowania jest pewna ciekawostka. Otóż Bruce Lee w oryginalnych, chińskich wersjach językowych swoich filmów był dubbingowany, ponieważ jego język chiński nie był poprawny. Posługiwał się slangiem używanym przez mieszkańców Chinatown, dalekim od idealnego brzmienia, z akcentowymi naleciałościami angielskiego. Do Bruce'a należały jedynie okrzyki wydawane w czasie walki.

Popularność podwojona „Drogą Smoka" zdawała się dokuczać Bruce'owi. Coraz częściej uskarżał się na brak prywatności.

— *Jest śmieszne, że najpierw dąży się do bogactwa i sławy, a potem chce się od tego uciec [...]. Staram się być z rodziną jak najczęściej i jak najdłużej, bo przyjęcia sprawiają na mnie wrażenie pokazywania w ZOO. Kiedy idę do restauracji, wybieram stolik w kącie sali i wkładam ciemne okulary, bo kto chciałby dawać autografy jedząc zupę? Doskonale rozumiem Steve McQueena, który chce się izolować od świata* — żalił się „Mały Smok" w „Black Belt Magazine", cenionym piśmie poświęconym wyłącznie sportom walki.

Patrząc na odwołanie się do przykładu Steve McQueena z perspektywy czasu wydaje się, że w jakiś sposób obaj aktorzy i przyjaciele byli do siebie podobni psychicznie. Obaj skłóceni z otoczeniem, dążący do perfekcji, wiecznie poszukujący zrozumienia i swojej własnej drogi. Obaj zresztą odeszli śmiercią nienaturalną i przedwczesną.

Bruce Lee nie zapominał o swoich przyjaciołach lat młodości i nie unikał z nimi kontaktów. Co rok odwiedzał St. Francis Xavier College i spotykał się z jego absolwentami. Fundował stypendia dla wyróżniających się studentów tej uczelni (którą zresztą sam ukończył).

Jednym z najbliższych przyjaciół Bruce'a, od lat chłopięcych był **Mito Vychera**. Spotykał się z nim dość często. Prawie nigdy jednak nie rozmawiali o sprawach aktualnych, a o młodości i młodzieńczych przygodach.

— *Rzadko kiedy był w beztroskim, radosnym nastroju* — wspominał po śmierci Bruce'a Mito Vychera — *Kiedyś powiedział mi, że doszedł do sukcesu dzięki niestrudzonej woli i chęci czynienia wszystkiego w sposób doskonały. Cieszy się z tego, ale jednocześnie ma świadomość, iż niewielu potrafi to zrozumieć i ocenić. Mówił, że bardzo mu brakuje naszych wspólnych spotkań, dyskusji, wesołych godzin razem przeżytych. Radził mi, abym na siebie uważał i trenował. Twierdził, że dla niego tylko bieganie jest formą odprężenia i relaksu. Nie sprawiały mu już dawnej radości nawet fantastyczne popisy sprawności i siły, jakimi dysponował.*

Ten sam Vychera opisał zdarzenie młodości Bruce'a. Otóż będąc szefem „paczki" w latach po powrocie rodziców do Hongkongu, Bruce toczył liczne walki zarówno z członkami swojej grupy, jak i konkurencyjnych. Kiedyś miało dojść do pojedynku z przywódcą opozycyjnego „gangu" na dachu jakiegoś wysokiego budynku. Przeciwnik zaatakował w sposób podstępny i chciał zrzucić Bruce'a na ziemię, co niewątpliwie zakończyłoby się ciężkimi obrażeniami lub śmiercią. Bruce wyszedł z opresji i następnie szybko unieszkodliwił wroga. Przyglądający się walce członkowie obu „band" byli przekonani, że Bruce rewanżując się za podstęp zrzuci konkurenta z dachu. Chłopcy z grupy Bruce'a nawet tego się domagali. Nie zrobił tego, choć mógł... Po latach, kiedy w rozmowie z Vycherą wrócili pamięcią do tej sprawy, Bruce miał się zastanawiać, czy i obecnie tak by postąpił.

Jak by podchodzić do takich wspomnień wygłaszanych, czy pisanych już po śmierci Lee, można przyjąć bez specjalnego ryzyka, iż powodzeniu materialnemu i rozgłosowi nie towarzyszyły spokój wewnętrzny i samozadowolenie. Bruce nie był człowiekiem szczęśliwym w potocznym tego słowa rozumieniu. Zbyt wiele napięć, stresów i konfliktów niosła ta sława, aby mógł ją lekko unosić. Był koniec roku 1971. Następne miały przynieść tylko pogorszenie sytuacji, mimo dalszych sukcesów, tłumów wielbicieli i zachwytów.

(cdn.)

Lindner i inni

Dokończenie ze str. 3

mieckiego i historii Niemiec, wszczepiali ideologię nacjonalistyczną oraz wrogo nastawiali wychowanków do państwa polskiego. Podobną działalność podjęli kantorzy wśród dorosłych — zaczęto organizować wspólne modlitwy, które w istocie rzeczy stanowiły przykrywkę dla uprawianej propagandy.

Wymieniany Juliusz Lindner od 1937 r. stał się głównym przywódcą Niemieckiego Związku Ludowego na całą Chełmszczyznę, utrzymywał stosunki ze środowiskami niemieckimi w innych rejonach województwa. Przeniósł się z Woli Korybutowej i zamieszkał w Chełmie, gdzie miał daleko większe możliwości kontaktów. Jego mieszkanie stało się miejscem spotkań działaczy regionalnych i emisariuszy przyjeżdżających z Bydgoszczy, Lwowa, Łodzi i Poznania. 19 listopada 1938 r. została skierowana do Chełma (i zamieszkała u Juliusza Lindnera) wysłanniczka lwowskiego oddziadziału DVV, Gertruda Manz. Przybyła z zadaniem przeprowadzenia kontroli prac oświatowych oraz odbycia zajęć z dziećmi i dorosłymi. Bezpośrednio po przyjeździe przesłała list do działaczki DVV w Bydgoszczy (faktycznie był to raport przekazany do oddziału bydgoskiego), w którym dokonała pełnej oceny stosunków panujących w chełmskich wsiach. W swej działalności skoncentrowała się głównie na pracy z młodzieżą. Każdego wieczora odbywała spotkania (dla zmylenia podejrzeń — za każdym razem w innym mieszkaniu) i uczyła młodzież czytać, pisać i śpiewać po niemiecku. Niezależnie od tego, raz w tygodniu, urządzała zebrania dla kobiet oraz oddzielnie dla dziewcząt (tych ostatnich było szczególnie dużo — około 200 osób).

Podobną działalność oświatową o nacjonalistyczno-wywrotowym charakterze prowadziła również Partia Młodych Niemców. W okresie od 14 do 20 grudnia 1936 r. w Podolu Nowym (pow. Garwolin) zorganizowała ona kurs kulturalno-oświatowy dla członków JDP. Obok 41 uczestników miejscowego koła wzięło w nim udział 15 osób z powiatów: łódzkiego, radzyńskiego, sochaczewskiego, warszawskiego oraz z Warszawy. Zajęcia prowadził przybyły z Łodzi czołowy funkcjonariusz partii, kandydat na pastora Otto Grunt. Większość wykładów poświęcona została kulturze niemieckiej oraz nauce języka niemieckiego, historii i geografii Niemiec. Równocześnie starano się upowszechniać wśród społeczeństwa dorosłego czytelnictwo literatury oraz gazet sprowadzanych z Rzeszy.

Wszystkie akcje podejmowane przez obie partie hitlerowskie miały zdecydowanie antypaństwowy charakter. Prześcigano się w oskarżaniu państwa polskiego o stosowanie ucisku narodowego. Starano się również podsycać nienawiść do ludności polskiej. Równocześnie gloryfikowano wszystko, co dotyczyło hitlerowskich Niemiec. Podczas spotkań, będących faktycznie zebraniami partyjnymi bądź wiecami politycznymi, używano wyłącznie języka niemieckiego.

Jerzy Doroszewski

O żonie i przedmiotach

OŻENIŁEM się 20 lat temu, nigdy poważnie nie myślałem o rozwodzie i wszystko byłoby dobre w tym moim związku, gdyby nie fakt, że żona ciągle jest piękna i młoda. A cóż to za powód do zmartwienia? — powie ktoś, kto ze smutkiem obserwuje starzenie się swojej połowicy. Wyjaśniam więc, że nie należy do przyjemności, kiedy osobnik poznany przed chwilą w okolicznościach towarzyskich pyta mnie, wskazując rozognionym okiem w kierunku mojej żony: — A córeczka to panu ładnie wyrosła. Czy jeszcze wolna?

Ponadto posiadam w domu kilka przedmiotów, które także chwalą się dobrą kondycją, choć wyprodukowano je w kraju.

Należy do nich pralka „Światowit", takie maleństwo, idealnie pasujące do łazienki w osiedlowym bloku. Pierze jak szalona, bielizny nie niszczy, obywa się byle jakim proszkiem, lubi nawet zwyczajniejsze i nigdy dotąd, ani razu, nie zepsuła się. Nie byłoby w tym nic rewelacyjnego, może nawet wypadałoby przemilczeć fakt posiadania tak prostego urządzenia, jakby nie umywającego się do automatu, gdyby nie to, że z owej małej pralki korzystam od 15 lat bez przerwy. A kupiłem ją za 1300 zł.

Albo taki odkurzacz „Alfa K-2" z rzeszowskiego „Zelmeru", który oczyszcza wykładziny i inne dywany z rzetelnością i szybkością zgłodniałego stada mrówek, nie naruszając oczywiście nawierzchni. Nie przegrzewa się przy tym, jest lekki i także nigdy nie był w reperacji, choć pracuje... 15 lat.

Mam poza tym telewizor „Fregata" — działający od 13 lat, podczas których wymieniłem w nim, bodaj trzykrotnie, jedną z lamp i to rękoma żony. Kosztował niewiele ponad 4 tys. zł, ale ciekawsze, że wyprodukowano go, w Gdańsku, w ramach działalności ubocznej jakiegoś zakładu!

I jeszcze coś godnego uwagi: letnie buty mojej żony, takie sandałki na półsłupku, całe ze skóry, wykonane przez znaną fabrykę „Syrena". Wyglądają jak nowe, nie straciły koloru, nie wytarły się na wierzchach i tylko raz były zelowane, ale nigdy nie rozkleiły się (podeszwy), w co na pewno trudno państwu uwierzyć. Ale to święta prawda, podobnie jak fakt, że zostały kupione 14 lat temu — za 30 zł, w ramach przeceny.

Historię o butach zrozumieją najlepiej panie, więc nie chcąc pozbawiać wzruszeń i panów informuję, że radioodbiornik „Relaks" działa w mym domu 16 lat — bezbłędnie, bez wymiany jakiejkolwiek części.

Podsumowanie: moja żona ukształtowała się jako kobieta w latach sześćdziesiątych, wszystkie wymienione i znakomicie pracujące urządzenia wyprodukowano także w tamtych czasach, kiedy siebie samych i gospodarkę budowaliśmy głównie przy pomocy sił własnych, bez oglądania się na pomoc z zewnątrz.

(K)

PS. Jeśli kogoś razi wmanewrowanie człowieka (żony) w realistyczną opowieść o przedmiotach przemysłowych (martwych), to niech sobie przypomni, jak wyglądają nasze kobiety czyhające na dostawy towarów do sklepów. Myślę, że odnajdzie wówczas związek między urodą naszych kobiet a stanem zaopatrzenia i jakością produktów oferowanych przez handel.

Ekran i widz

Przygody jaskiniowców

MITOLOGIA grecka przekazała światu piękną opowieść o szlachetnym Prometeuszu, który wykradł bogom ogień i przekazał go rodzajowi ludzkiemu żyjącemu dotąd w ciemności, chłodzie i niedostatku. Francuski reżyser, Jean Jacques Annaud przypomina, że cywilizacja wzięła początek w chwili, kiedy włochaty jaskiniowiec, bezmyślny troglodyta zdołał oswoić upadły na ziemię piorun, gdy zaczął go karmić suchym drewnem, aby zachować na zawsze przy sobie rozjaśniające mroki nocy światło i życiodajne ciepło...

Ogień dawał siłę, ogień stanowił ochronę przed drapieżnikami w czasach, kiedy jedyną bronią niedawnego neandertalczyka był kamień albo wyłamany w pobliżu jaskini kij. Ogień spadał od czasu do czasu z nieba w czasie burzy, i gdy się go posiadło, trzeba go było pilnie strzec i żywić, aby nie umarł. Kto miał ogień, ten miał władzę. Ogień był dobrem, które istoty z rodzącego się gatunku homo sapiens starały się sobie nawzajem odebrać. Takie jest też podstawowe założenie kanadyjsko - francuskiego filmu przygodowego „z życia jaskiniowców", zatytułowanego „Walka o ogień".

Kilkanaście lat temu oglądałem film o podobnej tematyce, nakręcony przez Amerykanów ze wschodzącą gwiazdą Raquel Welch w głównej roli. Nazywał się „Milion lat przed naszą erą": na ekranie widać było, jak wśród skał i pieczar biegali sobie przystojni jaskiniowcy, w powietrzu fruwały gęsto pterodaktyle, po ziemi sunęły ciężko kolosalne przedpotopowe jaszczury. Ale to wszystko było tylko tłem dla ślicznie rozebranej, paradującej w jakimś ledwie zauważalnym skrawku futra — a za to w pełnym makijażu — sex-bomby. Raquel Welch była atakowana przez groźnego niedźwiedzia, porywana w przestworza przez skrzydlatego gada, napastowana przez wstrętnego, krwiożerczego płaza jak trzypiętrowa kamienica, lecz ze wszystkich tych opresji wychodziła zwycięsko, coraz piękniejsza i jeszcze bardziej godna pożądania. Film ów nie przynosi, z pewnością, zaszczytu reżyserowi, ale dał sławę Raquel Welch; od tej pory zaczęła się jej światowa kariera.

Jean Jacques Annaud, przystępując do realizacji „Walki o ogień", nie szukał gwiazd filmowych, ani nie starał się lansować przystojnych debiutantek. Postanowił bowiem zrobić „przygodowy" film mieszczący się jednakowoż w gatunku dzieł ambitnych. Jego bohaterowie to brudni, kudłaci jaskiniowcy o na wpół jeszcze zwierzęcych reakcjach, osobniki, których mózg pracuje bardzo powoli, a usta wydają z siebie skrzekliwy, niezrozumiały bełkot. Przez cały czas trwania filmu nie pada z ekranu ani jedno słowo, tylko te pomrukiwania, pochrapywania i krótkie ryki lub szczeknięcia, przy których pomocy porozumiewają się między sobą dwunogie stworzenia. Lecz jednocześnie u owych prymitywnych, pierwotnych ludzi rysują się już zalążki uczuć wyższych: przyjaźni, opiekuńczości, troski o wybranego osobnika płci odmiennej. Choć seks w tym filmie często dochodzący do głosu, nosi znamiona prymitywnej zwierzęcej kopulacji, to przecież i ta sfera doznań zaczyna się w miarę rozwoju akcji „cywilizować", nabierać „wyrafinowania". Niczego nam zresztą nie oszczędza reżyser: ani krwawych walk z małpoludami atakującymi ludzkie jaskinie, ani scen ludożerstwa, ani krwawych starć ludzi z drapieżnikami. W „Walce o ogień" pierwotny człowiek poluje na zwierzęta, ale sam jest również zwierzyną łowną. Tym bardziej upośledzoną od innych mięsożernych istot, że nie posiadającą już kłów i pazurów, a nie dysponującą jeszcze dostatecznie dobrze wykształconymi środkami zastępczymi. Czyli — odpowiednią bronią.

W długiej wędrówce trzech członków jaskiniowej społeczności, którzy zostali wysłani w świat na poszukiwanie utraconego ognia, zdarzają się momenty niezwykle dramatyczne, ale także chwile pełne sytuacyjnego komizmu. I ten właśnie delikatny humor, jakim podbudowuje co pewien czas reżyser swój film, nadaje owej opowieści z życia troglodytów bardziej szeroki, humanistyczny wymiar. Podobnie jak swoistym „filozoficznym" akcentem „Walki o ogień" jest wtopienie słabej ludzkiej jednostki w oszałamiający swym pięknem, dostojeństwem i bezmiarem milczący ziemski krajobraz. Ale to już także zasługa operatora, który swym wspaniałym zdjęciom, kręconym w Kanadzie, Szkocji i Kenii, potrafił nadać wzniosły, ponadczasowy charakter.

A wracając do mitologii, to w filmie Annauda rolę Prometeusza spełnia... kobieta. Zakochana — na swój przedpotopowy sposób — kobieta z bardziej cywilizowanego plemienia, która wykradła tajemnicę krzesania ognia, aby złożyć ją w darze wybranemu przez siebie samcowi.

Co zresztą tłumaczyłoby znany od dawien dawna fakt, że dziewczęta z tzw. „porządnych domów" mają dziwną inklinację do męskich prymitywów.

M. D.

PS. „Walkę o ogień" obejrzeć warto. Niemniej, z podobnego typu „problematyką filmową" wolałbym osobiście nie mieć zbyt często do czynienia. Inna sprawa, że bezpieczniej oglądać zmagania troglodytów na ekranie, niż troglodytów współczesnych, działających wokół nas.

Krzyżówka Nr 21

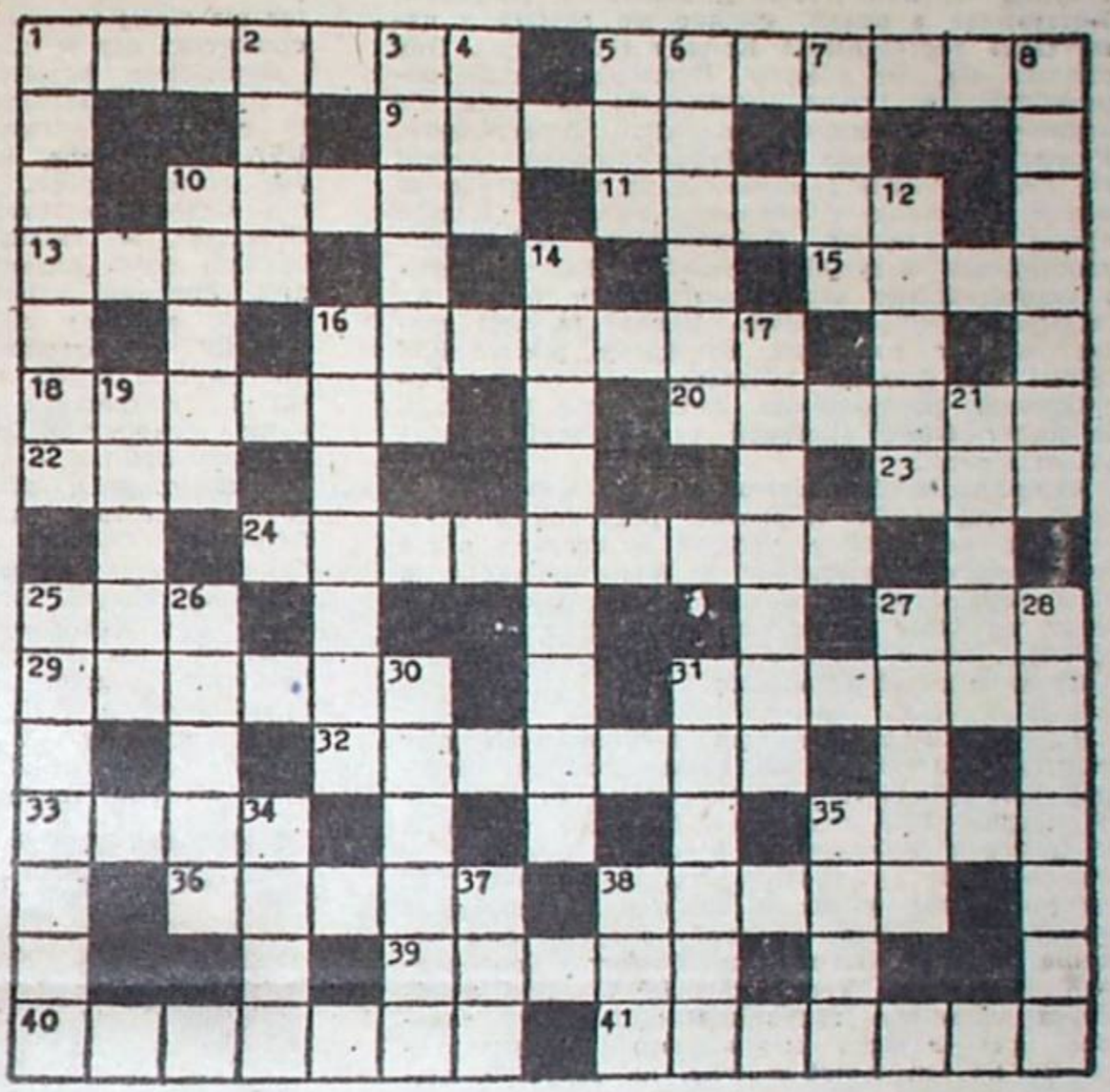

POZIOMO: 1. protektor kultury, 5. dramatopisarz, laureat Nagrody Nobla, Irlandczyk, 9. intelekt, 10. rezerwa, 11. współczesny kompozytor polski, autor muzyki do wielu filmów, 13. miasto w ZSRR w obwodzie kaliningradzkim, 15. cena walut, 16. bęben z hymnu, 18. ogół pracowników komitetów partyjnych, 20. port na wsch. brzegu wyspy filipińskiej — Luzonu, 22. monarcha w państwach słowiańskich, 23. ma dwa końce, 24. kompozytor polski, autor znanej uwertury „Morskie Oko", 25. sześć wygranych gemów, 27. kąśliwy owad, 29. przewodniczący zarządu, 31. amerykański policjant, 32. łódzka robotnica, 33. muzyczna litera, 35. kłótnia, zatarg, 36. rzeka dająca nazwę wielkiemu zagłębiu, 38. fałdowany, koronkowy kołnierz, 39. szybki bieg konia, 40. hiszpańska warowna rezydencja magnacka, 41. szyderstwo, bardzo ostra ironia.

PIONOWO: 1. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla, 2. biblijny amator soczewicy, 3. góra w herbie Armenii, 4. dodatek do mięsa, 5. sąsiaduje z jodłą, 6. dawna jednostka terytorialna w krajach arabskich, 7. legendarny założyciel dawnej stolicy Polski, 8. Lew lub Aleksy, 10. czasomierz, 12. rączy koń, 14. kompozytor polski, który tragicznie zginął w Tatrach, 16. stołek, 17. środek nasenny, 19. złodziejski handlarz, 21. nazywane kłami słonia, 25. filozof racjonalista XVII wieku, 26. wystawia dramaty, 27. region pod Babią Górą, 28. złota myśl, 30. jezuita, autor „Kazań sejmowych", 31. pochyła, boczna powierzchnia między różnymi wysokościami terenu, 34. klimat, pogoda, 35. porządek, 37. lewy dopływ Renu w Szwajcarii, 38. ptak śpiewający.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19

Poziomo: Paderewski, Undset, Ossendowski, kompas, kornet, kroki, poczet, las, Amicis, leki, zupa, namiar, Aza, errata, laska, utwory, tampon, przedszkole, Brecht, Malczewski.

Pionowo: pułk, Adam, Newa, Australia, reneta, skwar, Lipińska, Oslo, pucz, skuter, komar, olcha, Penelopa, Camus, elana, szapoklak, apetyt, rytm, Togo, ludzie, Kreol, Akra, puch, nuta.

Nagrodę otrzymuje Edward Gąsior, ul. Skowronków 7/18, 33-104 Tarnów.

POCZTA LITERACKA

Lęszek J. Warszawa. Zachętę utrzymuję także i teraz, choć nowa porcja wierszy również do końca nie rozprasza moich rozterek. Po wakacjach oczekuję dalszej. Chcę wiedzieć, czy bawi się Pan jedynie słowami, epatuje nimi niekiedy odważnie, czy ma też Pan coś do powiedzenia i to właśnie poprzez wiersze.

Joanna K. Lublin. Opowiadania są interesujące, szczególnie „Piekło" i „Stąd do Limy". Zapewne to drugie stanie się Pani debiutem w którymś z przyszłych numerów „Kameny". Niech się Pani chroni przed zbyt wyraźnymi wpływami literatury latynoamerykańskiej. Przede wszystkim proszę jednak pisać, studenckie wywczasy mogą temu sprzyjać.

Elżbieta K. Lublin. Trzy zestawy wierszy, nadesłane w pewnych odstępach czasu, pozwalają już na pełniejszą orientację, gdy chodzi o ich wartość. Bywają wśród nich utwory krańcowo różne. W wielu razi nieprzekonywający układ graficzny, przypadkowość łamania wersów, co zniekształca najpiękniejsze nawet intencje. Proszę się nad tymi zarzutami zastanowić. Należy to uczynić, gdyż zdarzają się utwory, o których warto porozmawiać, można je uratować po właściwych zabiegach autorskich.

Edyta I. Krasnystaw. Radzę Pani skontaktsię z grupą poetycką „SŁOWO" działającą od kilku lat przy Krasnostawskim Domu Kultury: spotka tam Pani rówieśników i starszych kolegów po piórze, toczone tam dyskusje i spory na temat pisania okażą się przydatne do własnych rozważań i rozstrzygnięć w sprawach poezji. Przede wszystkim jednak trzeba wydeptywać własne ścieżki. Być może, będziemy mogli wydrukować któryś z nadesłanych wierszy.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36251.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 1693/83. 10.08.83. S-6.

Jan Tomaszewski

CO JEST W TEJ PIŁCE?

19

Hollywood, Niagara, bankiety...

POKONUJĄC Anglików w Chorzowie nie wiedzieliśmy, że fundujemy sobie tym samym tournée po Ameryce Północnej. Jak być może Czytelnicy moich wspomnień pamiętają, pisałem o meczu z „kelnerami" nowojorskimi czyli reprezentacją USA. Po ich wizycie u nas zaproszono nas na mecze rewanżowe. Federacja amerykańska uczyniła to, nim jeszcze pokonaliśmy Anglików. Korzystając z okazji, spotkać się chciały z nami także reprezentacje Kanady i Meksyku. Gdy okazało się, że chłopcy Ramsey'a zostali odprawieni jak trzeba, okoliczność ta stała się argumentem reklamowym dla Amerykanów. Przenaglano nas do wizyty za oceanem. Zebrał się Zarząd PZPN i uradzono, że w nagrodę za wynik uzyskany z teamem ojczyzny futbolu można nas wysłać. Wzbudziło to niekłamane zadowolenie wszystkich członków kadry i tych z bezpośredniego zaplecza, mających widoki na „załapanie się" do składu. Radość ta była rzeczą zupełnie naturalną, bo każdy piłkarz lubi jeździć za granicę; zwłaszcza za taką. Dodatkowym powodem do zadowolenia był fakt, że trener Górski porzucił czarne myśli o rozstaniu z nami.

Kiedy prasa doniosła o tournée, wybuchła w kraju wrzawa. W większości przypadków uważano, że powinniśmy siedzieć w kraju i pilnie ćwiczyć przed rewanżami z Walią i Anglią, a nie odbywać takie wojaże. Głosy takie pojawiały się także w prasie sportowej i telewizji. Było to jednak wołanie na puszczy, bo decyzje i uzgodnienia już pozapadały.

W związku z terminem zaocenicznych gier wszyscy przewidziani do składu musieli utrzymać jaką-taką formę w okresie od 28 lipca do 19 sierpnia 1973 roku, tj. od odlotu z Okęcia do meczu z Bułgarią na Stadionie Gagarina w Warnie. Było to zadanie trudne, bowiem liga zakończyła się w końcu czerwca i tradycyjnie następowało potem roztrenowanie, krótkie leczenie kontuzji i budowanie formy na obozach klubowych. Teraz musiało to ulec zmianie, a właściwie radykalnie musiał być skrócony czas naszego indywidualnego wypoczynku. Co na ten temat mówiła, na przykład, moja żona, pominę milczeniem...

Sprawdzianem przed wyjazdem był sparring z czołową jugosłowiańską drużyną „Radniczki" Nisz — 22 lipca 1973 roku w Krakowie. Mecz toczył się w wakacyjnym tempie i zakończył bezbramkowo. Na czas nie dotarło do Krakowa kilku przewidzianych do sprawdzianu chłopaków i Górski nie był absolutnie zachwycony. Bezpośrednio po meczu podano do wiadomości skład udający się za ocean. Bramkarze: Szeja i Tomaszewski. Obrońcy: Rześny, Bulzacki, Gorgoń, Musiał, Szymanowski. Pomoc: Ćmikiewicz, Deyna, Kasperczak, Kasztelan, Drozdowski. Napastnicy: Banaś, Domarski, Szarmach, Gadocha, Kmiecik. Jako ciekawostkę mogę podać, ilu zawodników dały poszczególne kluby. Po trzech ludzi miały: ŁKS, Stal Mielec, Górnik Zabrze, Wisła Kraków, Legia Warszawa oraz po jednym Zagłębie Wałbrzych i Pogoń Szczecin. Był to chyba jeden z nielicznych przypadków w historii polskiej reprezentacji, kiedy tworzyli ją gracze aż 7(!) klubów. Niestety zabrakło wśród nas Włodka Lubańskiego, niezawodnego kumpla, kapitana drużyny i czołowego snajpera. Po brutalnym starciu w meczu z Anglią („załatwił" go Roy McFarland) oczekiwał pierwszej z serii operacji kolana w Piekarach Śląskich. Przed odlotem dzwoniliśmy do niego i serdecznie pozdrawiali, pocieszali, żartowali, że już niedługo z nami zagra. Były to, niestety, tylko pobożne życzenia. Kontuzja miała prześladować Włodka długo...

Do USA leciałem po raz pierwszy i przeżywałem to wydarzenie bardzo. Jednym z pierwszych i silniejszych wrażeń był lot w pogoni za czasem i związane z tym „anomalie" rytmu dobowego. Zachód słońca wydłużył nam się i jednocześnie „zyskiwaliśmy" na czasie. Okazało się, że zamiast godziny 20 mamy dopiero 15 i jeszcze sporo dnia do zaśnięcia. Wprost z Nowego Jorku udaliśmy się do Toronto, gdzie odebrał nas konsul generalny PRL, a stamtąd od razu nad wodospad Niagara. Było to kolejne mocne wrażenie. Najpierw doświadczyłem skutków ruchu obrotowego Ziemi, a potem z bliska podziwiałem inną, znaną z lekcji geografii, atrakcję. Wszystko to działo się w iście amerykańskim tempie.

Już następnego dnia po Niagarze, 1 sierpnia 1973 roku, na University Stadium w Toronto zagraliśmy z Kanadą, która do tego spotkania szykowała się specjalnie i pod wodzą trenera sprowadzonego z... Anglii. Jako swego rodzaju ciekawostkę mogę powiedzieć, że w bramce gospodarzy bronił niejaki Marek Czurski (Mark Chursky), polonus, umiejący trochę po polsku. Kanadyjczycy zaskoczyli nas atakiem od pierwszej minuty i już w dziewiątej ich lewoskrzydłowy Aubert strzelił mi bramkę. Do 55 minuty zanosiło się na sensację, ale po wolnym Gadochy wyrównaliśmy na 1:1, a w ostatnich pięciu minutach „dobiliśmy" przeciwnika bombą Gorgonia i skuteczną akcją „Piłata" (Gadochy).

Po tym spotkaniu byliśmy gorąco fetowani przez Polonię i oprócz morza łez polało się też nie mniej innych płynów. Z tym, że już nie w chusteczki, czy w mankiety...

Samolotem przelecieliśmy do Chicago i już 3 sierpnia wyszliśmy na Soldier Field, pokryty plastykową trawą, przeciwko reprezentacji USA. Ze składu, który pokonaliśmy w Łodzi 4:0, zostało tylko... dwóch ludzi. Akrobatycznie uzdolniony bramkarz Ivanow i pomocnik Getzinger. W składzie roiło się natomiast od bliskich uchu nazwisk: Serwin, Panek, Martynicz. Zmęczeni czterema dniami na zachodniej półkuli, graliśmy z Amerykanami bardzo kiepsko, ku rozczarowaniu licznie przybyłej Polonii. Dopiero w 88 minucie mielczanie Domarski i Kasperczak przeprowadzili skuteczną akcję zakończoną celnym trafieniem tego ostatniego. Uff!

Może nieco o składzie naszej reprezentacji. W obu meczach broniliśmy z Marianem Szeją fifty-fifty. Obrona wyraźnie stabilizowała się do ustawienia: Szymanowski (Rześny), Gorgoń, Bulzacki, Musiał. Druga linia najlepiej sprawdzała się z dwoma legionistami Ćmikiewiczem i Deyną oraz Kasperczakiem. Za to w ataku był istny „pasztet". Poza Gadochą wszystko tu było możliwe. Nowym kapitanem drużyny został wybrany „Kaka" Deyna. Poza boiskiem typowy „wolny ptak" i raczej chodzący własnymi drogami, za to na boisku dyrygent i szef.

Po tym wejściu McFarlanda Włodek Lubański nie tylko nie mógł jechać z nami na „bankietowe" tournée. Dżentelmeński stoper angielski „wyłączył" go z grania na dużo dłużej...

Foto: CAF — Stan Jakubowski

Los Angeles, Kalifornia. Upał. Tu 5 sierpnia, na Stadionie Olimpijskim, tym samym, gdzie Walasiewiczówna i Kusociński stawali na najwyższym podium (tyle, że po modernizacji) graliśmy przeciwko Meksykowi. Meksykanie przybyli do Kalifornii specjalnie na mecz z nami, bo tak to wynikało z układu tournée. Grali jednak jak u siebie z racji licznej w tym stanie kolonii meksykańskiej. Obie drużyny zagrały szybko, widowiskowo i fair. Nie brakowało strzałów na bramki, błyskawicznych kontr, dryblingów. Wygraliśmy 1:0, po skutecznym strzale Jurka Gorgonia w 61 minucie. Bezsprzecznie należał on do wybijających się indywidualności boiskowych i rozegrał trzeci, kolejny dobry mecz.

Po tym meczu mieliśmy cztery dni oddechu i zabrała nas do siebie Polonia z Seattle. Był to w zasadzie czas nie kończących się spotkań, przyjęć i bankietów. Zapraszano nas od klubu do klubu i od domu do domu. W mieście tym i jego okolicach mieszkają polonusi przedwojenni, naprawdę potrzebujący kontaktu z krajem, wiadomości o nim i zwyczajnego pogadania po polsku. Z dużą przyjemnością uczestniczyliśmy w tych spotkaniach, racząc się prawdziwie polską gościnnością. Spotykaliśmy się także z przyjmowaniem nas mniej przyjemnym, a mnie osobiście uwłaczającym. Zdarzało się, że w czasie bankietu łapał mnie za rękaw jakiś „klient" i ciągnął do baru ze słowami: *Chodź, postawię ci piwo!* Goniłem takich facetów od razu, nie żałując słów „publicznych". Przeszkadzało mi to dlatego, że odczytywałem w takich gestach próbę zaimponowania „biednemu Polakowi" z biednego kraju. Interesujące, że najbardziej chcieli imponować tacy, którzy przebywali w Ameryce od kilku miesięcy. Uciekinierzy ze statków, pracujący „na czarno" turyści itp. Spławiałem ich mówiąc, że piwo to ja im mogę postawić, a nie oni mnie, a i to jak będzie mi się chciało. Zjednywało mi to opinię gbura, zarozumialca, takiego, który uważa się za Bóg wie co. A ja, po prostu, uważałem się za Polaka. Nie twierdzę przy tym, że nie piłem piwa, koniaku czy szampana z polonusami. Piłem, jak wszyscy. Ale tylko z tymi, którym to było naprawdę potrzebne. Którzy oczekiwali, ode mnie wieści o kraju, o sobie, o moim fachu, o naszej piłce, a nie — podziwów i zachwytów dla Ameryki. Ten mój swoisty stosunek do tych spraw był różnie odbierany. Nawet i w drużynie.

Rewanż z Meksykiem graliśmy 9 sierpnia w Monterrey leżącym na wysokości 2 tysięcy metrów nad poziomem morza. Stadion „Technologico" miał bardzo duże rozmiary (115×70 metrów) i pokrywała go dość wysoka trawa. Wszystko to sprawiło, że wytrzymanie kondygnacyjnie 90 minut było sztuką. Przede wszystkim „zatkało" nas rozrzedzone powietrze. Mnie może mniej, ale chłopaków solidnie. Trener Górski dokonał trzech zmian, przy czym dwóch już w przerwie (Drozdowski za Ćmikiewicza i Kmiecik za Banasia). Broniłem cały mecz. Obrona grała w składzie standardowym i to zupełnie dobrze. Pomoc gorzej i niestety kiepsko atak, w którym w zasadzie brylował tylko „Piłat" Gadocha. Do przerwy nie było bramek. Już jednak w 52 minucie Mirek Bulzacki „tnie" napastnika na polu karnym i sędzia pokazuje na „wapno". Strzela stoper Guzman, etatowy wykonawca jedenastek w reprezentacji Meksyku. Za moją bramką tłum fotoreporterów. Próbuję wyczekać do samego momentu uderzenia piłki i robię zwód w lewo, po czym rzucam się w prawy róg. Niestety Guzman ma silniejsze nerwy i wali potężnie tuż przy lewym słupku. Przegrywamy 0:1.

Pięć minut później w odległości 20 metrów wolny dla nas. Piłkę ustawia Gadocha, a przeciwnicy długi mur z siedmiu zawodników. Robert coś kombinuje, przestawia kilkakrotnie piłkę, po czym bierze duży rozbieg z boku, co może sugerować podkręcenie piłki. Rusza do piłki, a równocześnie przesuwa się do przodu Jurek Gorgoń. Robert bierze potężny zamach nogą i lekko kieruje piłkę do Gorgonia, już biegnącego. Ten trafia dokładnie podbiciem. Piłka obok muru wpada w okienko bramki Calderona. 1:1 i teraz dopiero rozpoczyna się mecz. Walka idzie taka, jakby szło o mistrzostwo świata. Mam co robić, a i Calderon się nie nudzi. W 85 minucie piłkę otrzymuje na połowie boiska Robert Gadocha i łatwo mija jednego z graczy meksykańskich. Wypuszcza sobie mocno piłkę i wpada na pole karne. Bramkarz gości spodziewając się strzału rzuca się, lecz „Piłat" mija go zwodem i jest już pięć metrów przed pustą bramką. Wali w siatkę, jak z armaty. 2:1, a publika bije nam brawo. Skandują: „Polonia, Polonia, Polonia". Wygrywamy najcięższy i najbardziej prestiżowy mecz całego tournée.

Jak w kalejdoskopie. Już 11 sierpnia jesteśmy w San Francisco. Krótkie zwiedzanie miasta ze słynnym „Golden Bridge", najdłuższym mostem świata i mecz z USA. Duża przewaga naszej drużyny i „przemeblowana" znacznie drużyna USA (poza niezawodnym Ivanowem). Wygrywamy 4:0 po trafieniach Kmiecika (2), Szarmacha i Kasztelana.

Po tym meczu zaczynamy odczuwać już skutki wojażu, ale nazajutrz czeka nas jeszcze rewanż z Amerykanami w New Britain. Znowu Amerykanie wystawiają kilku zupełnie nie znanych nam graczy. Tylko trzech z wczorajszego spotkania (w tym oczywiście dobry znajomy Ivanow). Losy spotkania rozstrzygnęły się w czasie, kiedy mieliśmy przygniatającą przewagę. Amerykanie zainicjowali niemrawy kontratak, zlekceważony przez chłopaków. Kiedy się połapali, Trost był już sam na sam ze mną i niestety okazał się lepszy. Mimo oblężenia bramki Ivanowa nic się już nie zmieniło do końca i piłkarze USA mogli się cieszyć z sukcesu, który trafił się im, jak los na loterii.

Pozostałe cztery dni pobytu w Ameryce spędziliśmy na kolejnych spotkaniach, bankietach i gościnie u Polonii. W sumie oprócz dodatniego bilansu sportowego tego tournée (sześć meczów — pięć zwycięstw, jedna porażka, bramki 11:3) wyniosłem z niego niezapomniane wrażenia prywatne. Zwiedzałem Nowy Jork, Chicago, Los Angeles (ze słynnym Hollywood i wytwórnią filmową „20th Century Fox" oraz Disneylandem), San Francisco, Niagarę. To musiało pozostawić ślad i pozostawiło.

W Nowym Jorku, tuż przed odlotem, dowiedzieliśmy się, że Bułgarzy od kilkunastu dni przygotowują się na specjalnym zgrupowaniu do spotkania z nami, które traktują bardzo poważnie. My natomiast mieliśmy w kościach sześć spotkań, no i wrażenia bankietowe. Szanse nasze nie wyglądały więc zbyt różowo. Trener Górski zachowywał spokój. Nerwy puściły natomiast Gmochowi, który zrezygnował z jazdy do Bułgarii, tłumacząc się, że musi odwiedzić rodzinę w Paryżu. Większość chłopaków odebrała to jako „dyplomację". Zawsze to lepiej nie być przy porażce drużyny i powiedzieć później: *O przepraszam. Mnie wtedy nie było.*

A jak było — w kolejnym odcinku.

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki